

Nr 49 (1282) 3 XII 1978 R. CENA 6 ZŁ

Pano rama

4 XII
Dzień
Górnika





CENTRALNA INAUGURACJA DEKADY „CZŁOWIEK ŚWIAT POLITYKA”

Po raz dwunasty zorganizowano Dni Książki Społeczno-Politycznej „Człowiek Świat Polityka”. Centralne uroczystości odbyły się w Częstochowie. Otwarto bogatą wystawę, na której szczególnie interesująco przedstawiła swój dorobek „Książka i Wiedza” — obchodząca 60-lecie swej działalności.

Z tej okazji odbyło się spotkanie z aktywnym społeczno-politycznym, wydawcami i pracownikami książki, w którym uczestniczyli I sekretarz KW PZPR w Częstochowie — Józef Grygiel, kierownik Wydziału Pracy Ideowo-Wychowawczej KC PZPR — Jerzy Muszyński, I zastępca ministra kultury i sztuki — Wiesław Bek, prezes RSW „Prasa-Książka-Ruch” — Zdzisław Andruszkiewicz.

Na zdjęciu: fragment wystawy w Częstochowie, na której 30 czołowych oficyn wydawniczych prezentuje swój dorobek.

Foto: B. Kutakowski



DZIEŃ PODCHORĄŻEGO

Wyższe szkoły oficerskie to nowoczesne uczelnie, kształcące dowódców — inżynierów różnych rodzajów wojsk.

29 listopada słuchacze tych uczelni obchodzili swoje święto — Dzień Podchorążego.

Na zdjęciu: sierżant pchr. Sylwester Pinder z Wyższej Szkoły Oficerskiej Wojsk Zmechanizowanych im. Tadeusza Kościuszki we Wrocławiu demonstruje skonstruowany przez siebie samokontroler do nauki znaków drogowych.

Foto: CAF — Chmurzyński



MŁODZI Z ODDZIAŁU IV KOPALNI „WUJEK”

W październiku najlepsza w kopalni „Wujek” była młodzieżowa brygada Jana Martinusa.

Młodzi systematycznie wykonują plany miesięczne. W październiku dali 500 ton węgla ponad plan, natomiast w listopadzie wykonali 135 proc. swoich zadań. Odzyskują także 100 kompletów obudowy chodnikowej, które po remoncie będą ponownie wykorzystane.

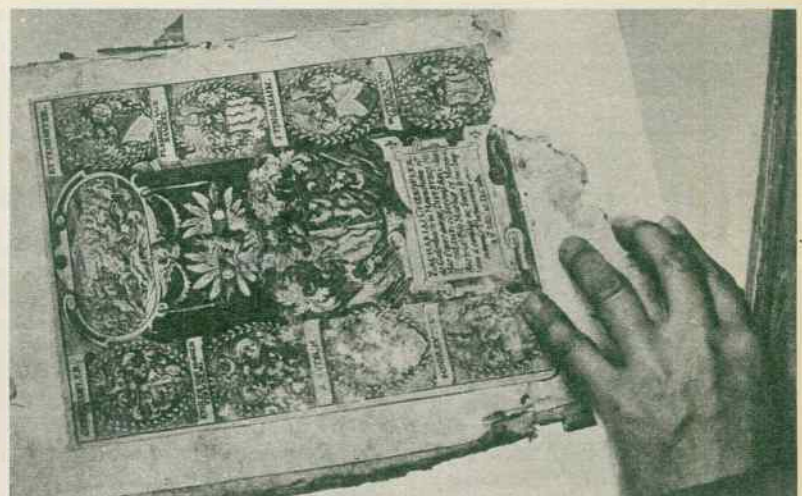
Foto: Józef Wróbel

RATOWANIE SKARBÓW

Pracownia konserwatorsko-introligatorska Biblioteki Zakładu Narodowego im. Ossolińskich we Wrocławiu zajmuje się ratowaniem zniszczonych rękopisów, starodruków i grafik.

Leon Majchrzak, Irena Delimata i Czesław Kowalczyk przedłużyli życie m. in. jednemu egzemplarzowi „Trybuny Ludów” z 1848 r., rękopisowi „Nieboskiej komedii” Zygmunta Krasińskiego, listom Henryka Siekiewicza.

Foto: CAF — Hawatej



**Pano
rama**

TYGODNIK ILUSTROWANY Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa-Książka-Ruch”. Wydawca: Śląskie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa-Książka-Ruch”, 40-098 Katowice, ulica Młyńska 1.

NUMER ZAMKNIĘTO: 27 XI 1978

NAKLAD: 500 000 EGZ.

NA NASZEJ OKŁADCE:

Lidia Kempka — programistka z Centralnego Ośrodka Informatyki Górniczej w Katowicach.

Zdjęcie: STEFANIA CIESIELSKA

Redakcja naczelna: Jan W. Gadomski. Kolegium redakcyjne: Jacek Cieszewski, Stanisław Gadomski (kierownik działu foto), Barbara Korzon, Janusz Kuśnierz (zastępca redaktora naczelnego), Janusz Litwin (kierownik działu zagranicznego), Ernest Marek (kierownik działu graficznego), Feliks Netz (zastępca red. naczelnego), Danuta Sobolowa (sekretarz redakcji), Wiesław Wilczek (zastępca red. naczelnego). Adres redakcji: „Panorama”, ulica Młyńska 1, 40-098 Katowice, telex 031-52-12, skrytka pocztowa 335, 40-926 Katowice. Telefony: sekretariat redaktora naczelnego 53-85-95, x-cy redaktora naczelnego 53-83-74 i 53-89-49, sekretariat redakcji 53-71-67; dział zagraniczny 53-89-30; dział kulturalny 53-91-86; fotoreporterzy 53-91-86. Oddział warszawski: ul. Pyłtaszkiego 17, 00-777 Warszawa, telex 813-460, telefon: 41-80-63. Dyrektor Wydawnictwa: mgr Karol Szarowski, tel. 53-70-26. Druk: Prasowe Zakłady Graficzne, ul. Liebknechta 22, 40-083 Katowice. Kolporter: RSW „Prasa-Książka-Ruch”, Przedsiębiorstwo Upowszechniania Prasy i Książki, ulica Dąbrowski 13, 40-081 Katowice. Informacji o warunkach prenumeraty udzielają wszystkie Oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch” oraz urzędy pocztowe. Cena prenumeraty rocznej wynosi 312 zł. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę, która jest o 50% droższa od prenumeraty krajowej, przyjmuje Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw RSW „Prasa-Książka-Ruch” 00-958 Warszawa, ul. Towarowa 28, konto PKO nr 1531-71. Numer indeksu 36856. Redakcja nie odpowiada za dział ogłoszeń oraz nie zwraca materiałów nie zamówionych. Numer zam. 4090/78 — W-14.

25-LECIE PAŃSTWO- WEGO ZESPOŁU PIESNI I TANCA „ŚLĄSK”



Od 25 lat zespół „Śląsk” jest znakomitym popularyzatorem polskiej kultury, piękna polskiej ludowej pieśni, muzyki i tańca, tak w kraju jak i na świecie.

Z okazji jubileuszu, 22 listopada członek Biura Politycznego KC, I sekretarz KW PZPR w Katowicach Zdzisław Grudzień spotkał się z przedstawicielami zespołu. I sekretarz KW PZPR udekorował najbardziej zasłużonych członków i pracowników „Śląska” wysokimi odznaczeniami państwowymi.

Na zdjęciu: Zdzisław Grudzień dekoruje orderem Sztandaru Pracy I klasy Elwirę Kamińską, choreografa zespołu.

Foto: Józef Wróbel



JESIENNE ORKI

Dobiegają końca jesienne orki. W Radomskim pracownicy Państwowego Gospodarstwa Ogrodniczego Stara Wieś kończą prace na polach rolników indywidualnych i spółdzielczych.

Na zdjęciu: orka w Starej Wsi.

Foto: CAF — Miedza

POLOWANIE

Na zdjęciu: polowanie w dniu święta patrona myśliwych Huberta. Zorganizowało je Koło Łowieckie „Drwęca” w rejonie leśnictwa Ostrowin koło Ostródy.



Foto: CAF — Moroz

Niedawno przedstawiciel bardzo wysokiego organu władzy państwowej z żalem i oburzeniem opowiadał, jak to spółdzielnia budowlana w Płocku podkupuje fachowców z „Petrochemii”, płacąc im stawki wyższe od ustawowych, a więc koniec końców działając wbrew interesowi społecznemu i łamiąc obowiązujące prawo. Podzielał żal i oburzenie. Tylko nie bez ale.

Po pierwsze sędzę, że oburzenie to nie może kierować się przeciwko „podkupowanym”. Ci, mimo iż wykształceni dla potrzeb przemysłu chemicznego i niejako przy jego materialnej pomocy, działają w dobrej wierze. Jeśli ktoś oferuje im wyższą płacę (płacę przecież, a nie łapówkę!) za pracę inną, co prawda, niż ta do której zostali wykształceni, lecz możliwą przez nich do wykonania – zmieniają pracodawcę bez większych skrupułów. Działają bowiem racjonalnie i w ramach znanego im i akceptowanego układu.

A spółdzielnia? No cóż, jeżeli podkupuje „Petrochemii” ludzi dając im po prostu wyższe stawki w ramach obowiązujących przepisów, legalnie – wówczas i takie działanie jest zrozumiałe. Bądź co bądź i wielka „Petrochemia” i mała spółdzielnia mają swój plan do wykonania, swoje zadania w naszej narodowej gospodarce do wypełnienia. Z zachowaniem proporcji, oczywiście – ale jednak. Kierownicy spółdzielni też działają racjonalnie.

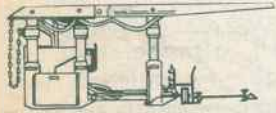
Pozostaje kwestia łamania prawa. W kraju socjalistycznym prawem jest także państwowy plan społeczno-gospodarczy. Prawnym obowiązkiem jest jego wypełnienie, jego wskaźniki i normatywy mają charakter normy prawnej. I jeśli przykładowa spółdzielnia to prawo łamie – jej wina jest oczywista i wielka.

W ciągu 10 miesięcy bieżącego roku wydatki jednostek gospodarki uspołecznionej na płace zostały w stosunku do planu wysoko, bardzo wysoko przekroczone. Praktyka stosowana w Płocku uprawiana jest przecież dość powszechnie. A więc przekroczone zostało prawo – to z jednej strony. Z drugiej, praktycznie odczuwalnej przez każdego z nas, zostały rzucone na rynek pieniądze nie mające pokrycia w masie towarowej – bo nie zaplanowane. A jeżeli dodamy do tego, że i niektóre zakłady produkujące na rynek nie wykonały w ciągu tych 10 miesięcy swych planów produkcyjnych (czyli nie zastosowały się do obowiązującego prawa) będziemy mieli zarys przyczyn licznych trapiących nas trudności.

Jest to oczywiście zarys powierzchowny. Zarówno przyczyny jak i skutki są bardziej złożone w swej całej istocie, stanowią łańcuch, w którym nielato chwycić za główne ogniwo. To znajduje się w doskonałości w zespole zagadnień, którym na imię doskonałe metody planowania i zarządzania. Niemniej faktem pozostaje szerzenie się braku odpowiedzialności wobec prawa, jakim jest plan gospodarczy; sięganie po woluntarystyczne metody tam, gdzie natrafia się na trudności, jakie należałoby rozwiązywać wytrwałym podnoszeniem wydajności pracy, lepszą jej organizacją, lepszym dysponowaniem materiałami i środkami – krótko mówiąc wyższą efektywnością działania.

„Brak ludzi” – to wytłumaczenie słyży się dziś wszędzie. Ma ono cudownie pokrywać niesumienność i nieudolność, bałagan i zwykły brak odpowiedzialności. Zaś lekarstwem mają być jakoby jedynie pieniądze. Otóż są to nieprawdy. Głębokie i groźne. Nie ludzi brak w istocie – tylko umiejętności ich wykorzystania. Zaś pieniędzy nie wolno nam więcej puszczać na rynek – jeśli nie chcemy znaleźć się w diabelskim kręgu wyścigu cen i płac. Brak natomiast – stanowczo zbyt często – dyscypliny i odpowiedzialności. Trzeba je więc egzekwować bezwzględnie. Tak powszechnie, jak powszechnie w organizmie państwowym musi obowiązywać prawo.

ROK 1978 — Polska gospodarka otrzyma 192 MILIONY TON WĘGLA — 6 milionów ton więcej aniżeli przed rokiem. Pierwszy raz w historii, każdej doby wyjechało na powierzchnię ponad 617,2 tys. ton węgla.



POMAGAJĄ MASZYNY

Polscy górnicy 96 procent węgla wybierają mechanicznie. W 1978 roku kopalnie otrzymały:

- 154 obudowy zmechanizowane
- 240 kombajnów ścianowych
- 64 kombajny chodnikowe.

W październiku 1978 górnicy pracowali na 385 ścianach kompleksowo-zmechanizowanych. Pochodzi z nich blisko 67 procent całości wydobyczego węgla.

Potrzeby górnictwa w 90 procentach zaspokaja 17 fabryk maszyn i urządzeń górniczych — zgrupowanych w Zjednoczeniu Przemysłu Maszyn Górniczych „Polmag”.

Zdjęcie:
STEFANIA
CIESIELSKA

NASZ NARODOWY PRZEMYSŁ

NOWE I UNOWOCZEŚNIANE

- Do 1985 roku planuje się pełną modernizację 18 czynnych kopalń węgla kamiennego.
- Kontynuować się będzie budowę: „Piasta”, „Świerkian”, „Susza”, „Czeczota”.
- Badane są możliwości założenia jeszcze jednej kopalni węgla koksowego w Rybnickim Okręgu Węglowym.
- Trwać będą węglowe inwestycje w Lubelskim Okręgu Węglowym.

LEPIEJ I BEZPIECZNIEJ

- Naukowcy opracowują, górnictwo wprowadza:
- coraz bardziej precyzyjne badania sejsmologiczne, prognozujące zagrożenie gazem lub tąpnięciami
 - wczesne wykrywanie pożarów
 - unieszkodliwianie pyłu węglowego.

W polskim górnictwie wskaźnik wypadkowości jest jednym z najniższych na świecie.

W kopalniach: „Wujek”, „Janina”, „Julian”, „1 Maja”, „Wawel”, „Szczygłowie”, „Szombierki” wprowadzono 4-brygadowy system pracy. Załogi mają więcej czasu na odpoczynek.

Do roku 1981 górnictwo musi zatrudnić dalszych 50 tysięcy pracowników. Wzrost ten jest niezbędny, gdyż w tym okresie planuje się wprowadzenie systemu czterobrygadowego we wszystkich kopalniach.

KŁOPOTY Z TRANSPORTEM

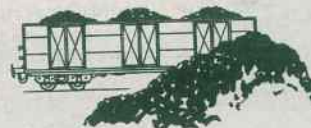
Brakuje wagonów do załadunku węgla. Do końca października br. górnicy zamiast wprost na wagony musieli rzucić na zwalę 15.356 tysięcy ton węgla. Ładowano je do pociągów przede wszystkim w dni świąteczne.

Na skutek trudności z wywozem, ilość węgla na zwalach (nie wywiezionego) wzrosła w porównaniu do roku ub. o prawie 400 tysięcy ton.

DLA WYKSZTAŁCONYCH

Szkoły górnicze przygotowujące do pracy w kopalniach węgla kamiennego ukończyły w 1978 roku — 15,3 tysiąca absolwentów.

Prawie 70 tysięcy górników podwyższa w tym roku kwalifikacje, na kursach i specjalistycznych szkoleniach.



MIESZKANIA, ZDROWIE

● 1978 rok. 21.428 mieszkań oraz 1385 domków jednorodzinnych dla górników to dużo lecz daleko do zaspokojenia wszystkich potrzeb.

● Górnicy leczą się w 101 przychodniach zakładowych, 7 szpitalach górniczych.

● Wybudowano szpitale w Wałbrzychu, Jastrzębiu i Katowicach-Ochojcu. Powstaje szpital górniczy w Sosnowcu.

● Górnicy opiekują się: 1175 lekarzy, 200 dentyków, 2960 pielęgniarek i innych osób należących do średniego personelu medycznego.



WYPOCZYNEK, SPORT

● Górnicy posiadają m. in.: 126 boisk i stadionów, 90 basenów kąpielowych, 80 hal i sal sportowych, 40 narciarskich wyciągów, 7 sztucznych lodowisk oraz prawie 19 tysięcy miejsc we własnych domach wczasowych.

● Najlepsze górnicze kluby sportowe: „Górnik” Zabrze, GKS Katowice, „Zagłębie” Sosnowiec, GKS Tychy, ROW Rybnik, „Zagłębie” Wałbrzych, „Płomień” Miłowice, GKS Jastrzębie.

● Zawodnicy z górniczych klubów zdobyli: 26 medali olimpijskich, 21 medali mistrzów świata, 19 medali mistrzów Europy i ponad 1158 medali indywidualnych oraz drużynowych mistrzów Polski.





Zdjęcia: LECH ZIELASKOWSKI, JOZEF WRÓBEL

**PRZEDSIĘBIORSTWO ROBÓT GÓRNICZYCH
W MYSŁOWICACH
BUDOWA  KOPALNI
W LUBELSKIM ZAGŁĘBIU WĘGLOWYM**

Bogdanka

Jeszcze przed mostem wiejski krajobraz, pola, zagajniki. Potem trzy szyby, którymi górnicy przegrzają się przez ziemię, otwierając innym drogę do pokładów lubelskiego węgla.

Jako pierwsi zaczęli tu tylko ludzie ze Śląska. Potem systematycznie dochodzili inni, m.in. z zagłębia miedziowego, też fachowcy od głębinienia szybów. Tamci zostali już na stałe w Bogdance. Równocześnie przyjmowano miejscowych, którzy pod czujnym okiem tych z mysłowickiego Przedsiębiorstwa Robót Górniczych wglębiali się w tajniki bardzo odpowiedzialnej i niebezpiecznej pracy, za jaką się uważa budowanie nowej kopalni. Najpierw bowiem, po wierceniach geologicznych i zlokalizowaniu pokładów węgla, trzeba zbudować szyb. Największymi wrogami tego przedsięwzięcia są: woda i kurzawka, co zmusiło górników do zastosowania specjalnych zabezpieczeń. Mianowicie do zamrożenia ziemi.

Robi się to tak: tam, gdzie ma powstać szyb nawierca się w promieniu 7 metrów 48 otworów, w które wpuszcza się stalowe rury o podwójnych ścianach. Następnie pompuje się specjalną ochłodzoną solankę, która powracając do góry zamraża ziemię. W ten sposób wokół przewidzianego do drążenia otworu powstaje zamrożony na kość pierścień ziemi, który przez rok nie taje. Na Bogdance było ciężko, bo trzeba było mrozić do prawie 800 metrów przy I i II szybie z uwagi na alb, czyli kurzawkę, występującą tu dość głęboko. Dwa następne szyby mrożono znacznie płycej.

Szeł mysłowickiej ekipy, inż. Zbigniew Stangret jest tu dokładnie od 28 lutego 1976 roku. Wówczas była tylko wieża szybowa i 12 metrów wybranego w głąb szybu, co górnicy nazywają „trawnikiem”. A potem był pierwszy węgiel — pokład grubości 70 cm, do którego

się dobrali na głębokości 709,4 metra.

Inżynier Zbigniew Stangret wozil ten węgiel w kartonie na Śląsk, każdy zostawił sobie na pamiątkę kawałek węgla, do którego się wreszcie dokopali.

W drugim szybie węgiel pokazał się na głębokości ponad 710 m i był to pokład o grubości 60 cm.

Powie ktoś — głębokie będzie to lubelskie zagłębie. Owszem, ale i węgla będzie dużo. W 1980 roku zakłada się początkowe wydobycie 1 miliona ton. Potem coraz więcej. I oczywiście nie tylko „Bogdanka”. Rozpoczęło się drążenie czwartego szybu koło Rybnej. W planie są jeszcze 24.

Tradycje górnicze w Lubelskiem są żadne. Trzeba więc ludzi uczyć górnictwa. Są już zawodówki górnicze dla potrzeb przyszłych kopalń. Prócz tego PRG w Mysłowicach zatrudnia na Bogdance miejscowych wymieniając w ten sposób oddelegowanych w Lubelskie swoich ludzi na tych, którzy zdecydowali się na węgiel, chcą być górnikami. Jak ci: Henryk Piotrowicz, ładowacz z Lublina; Czesław Baryga, młodszy górnik z Rejowca w Chełmskiem; Edward Jaroszek, ładowacz też z Lubelskiego. I Marian Błędowski, górnik przodowy z Sosnowca, od kilku lat tu pracujący i uczący innych zawodu.

Tak jest teraz. A potem? Znikną wieże szybowe kopalni pilotującej. I białe błoto (bo z kredą i marglem), po którego śladach poznaje się tych, którzy nawet otarli się o Bogdankę. Pojawi się pejzaż „śląski” z szymbami kopalni i hałdami. Zacznie się wydobywanie dobrego, bogatego w kalorie lubelskiego węgla. Węgla, u którego początków była Kopalnia Pilotująco-Wydobycza w Bogdance i ludzie z Przedsiębiorstwa Robót Górniczych w Mysłowicach.

JOLANTA TROJANOWSKA



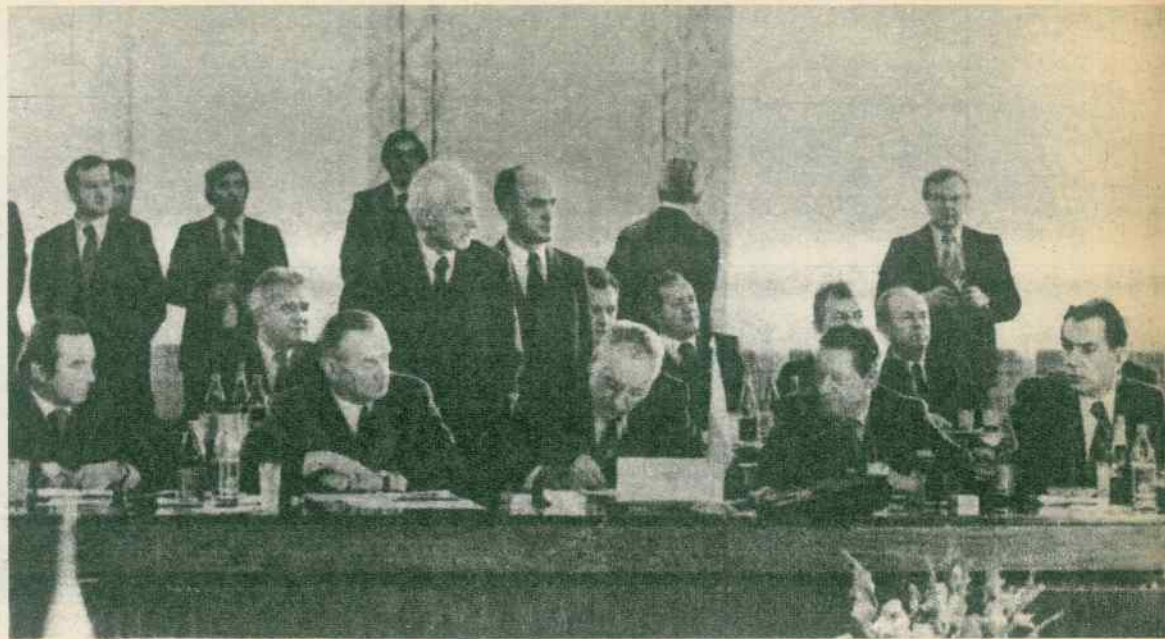
W BRATNICH KRAJACH

ZSRR: Program organizacji Igrzysk Olimpijskich roku 1980 w Moskwie przyspieszył realizację generalnego planu rozwoju stolicy Kraju Rad. Plan ten przewidywał budowę nowych osiedli mieszkaniowych, obiektów sportowych, usługowych, dróg i ośrodków handlowych do roku 2000. Zostaną one zbudowane ze znacznym wyprzedzeniem — a po zakończeniu Igrzysk przekazane mieszkańcom Moskwy. Do wioski olimpijskiej stanowiącej nowoczesne osiedle mieszkaniowe wprowadzi się ok. 15 tysięcy lokatorów. O dziesięć lat wcześniej zostanie wybudowany „Północny Łuk” — nowa magistrała miejska.

CSRS: W czerwcu br. Zgromadzenie Federalne CSRS uchwaliło ustawę o zmianie systemu zasad nauczania i wychowania, wprowadzając powszechną szkołę 10-letnią. Poważnie rozszerzono program przedmiotów politechniczno-zawodowych w gimnazjach. W przyszłym roku szkolnym system ten obejmie 35 czeskosłowackich gimnazjów. Przewiduje się też upowszechnienie eksperymentu, przeprowadzanego od dwóch lat w powiecie Rokycany. Tamtejsze szkoły przeniosły część zajęć politechnicznych i zawodowych do zakładów pracy i spółdzielni produkcyjnych.

NRD: Rozumiejąc korzyści ekonomiczne, jakie przynosi praca wielozmianowa (m. in. pełne wykorzystanie maszyn i urządzeń) — nie ukrywa się tu również, że ten system pracy jest dla pracowników obciążeniem zdrowotnym, czynnikiem utrudniającym życie osobiste i rodzinne. Dzieci robotników zatrudnionych na nocnych zmianach mają więc pierwszeństwo przy przyjmowaniu do żłobka i przedszkola, pracownikom drugiej i trzeciej zmiany zapewnia się dogodny dojazd do pracy i powrót do domu. W ubiegłym roku odsetek pracowników zatrudnionych w systemie wielozmianowym wzrósł do 28,2 procent.

KUBA: Im bliżej zakończenia roku — tym więcej napływa meldunków o przedterminowym wykonaniu planów produkcyjnych. W wielu kubańskich fabrykach rok 1978 został już praktycznie zakończony. W zakładach przemysłu spożywczego uruchomiono przed terminem nowe linie produkcyjne. Fabryka urządzeń technicznych w Hawanie pracuje już na poczet 1979 roku — podobnie jak budowniczowie elektrociepłowni Cienfuegos.



UKŁAD WARSZAWSKI: NARADA DORADCZEGO KOMITETU POLITYCZNEGO

W Moskwie odbyła się narada Doradczego Komitetu Politycznego Państw-Stron Układu Warszawskiego. Polskiej delegacji przewodniczył I sekretarz Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej Edward Gierek.

Rozpatrzone aktualne problemy rozwoju sytuacji w Europie i na świecie. Główną uwagę poświęcono dalszym krokom w walce o rozwój odprężenia i o rozbrojenie. Uczestnicy narady jednomyślnie zwrócili się do narodów świata z apelem o zaprzestanie wyścigu zbrojeń. Państwa wspólnoty socjalistycznej domagają się jak najszybszego przeprowadzenia rokowań pięciu mocarstw nuklearnych, porozumienia w sprawie redukcji budżetów wojskowych, zapewnienia odprężenia militarnego w Europie. Uczestnicy narady wystąpili przeciwko neokolonializmowi, opowiedzieli się za przebudową międzynarodowych stosunków ekonomicznych i za zapewnieniem wszystkim narodom świata równoprawnych warunków rozwoju. Państwa-Strony Układu Warszawskiego uczynią wszystko, „aby ludzkość wkroczyła w XXI wiek w warunkach trwałego pokoju i szerokiej współpracy międzynarodowej” — czytamy w deklaracji.

Moskiewskie obrady Doradczego Komitetu Politycznego i przyjęta na ich zakończenie wspólna deklaracja znalazły się w centrum zainteresowania światowej opinii publicznej. Doniesienia agencyjne i komentarze zwróciły uwagę na wymowę końcowych dokumentów, będących wyrazem dążeń krajów socjalistycznych do ostatecznego usunięcia niebezpieczeństwa wojny z życia narodów. Komentatorzy podkreślają, że kurs polityki zagranicznej krajów socjalistycznych odpowiada życiowym interesom wszystkich narodów. Zwracają uwagę, że inicjatywy zgłoszone podczas narady — m. in. opowiedzenie się za zawarciem ogólnoswiatowego porozumienia o niestosowaniu siły w stosunkach międzynarodowych — zmierzają do umocnienia pokoju w Europie i poza jej granicami. Dziennik „Izwestia” stwierdził, że od czasu KBWE nastąpił dalszy wzrost wzajemnego zrozumienia między państwami europejskimi.

Na zdjęciu: przewodniczący delegacji polskiej Edward Gierek podpisuje dokumenty końcowe narady.

Zdjęcia: CAF — PI, TASS, JPS i ARC

REFLEKSJE

Jak skutecznie i jak długo?

Opublikowana w prasie radzieckiej wypowiedź Leonida Breżniewa związana z aktualnymi wydarzeniami w Iranie wzbudziła zrozumiałe zainteresowanie w świecie ze względu na dobitność, z jaką przywódca radziecki podkreślił, iż to co się w Iranie dzieje jest wewnętrzną sprawą Irańczyków. I tylko Irańczyków — obca interwencja stanowiłaby zagrożenie dla pokoju w tym rejonie świata, a tym samym dla interesów Związku Radzieckiego.

To ostrzeżenie jest w pełni uzasadnione ciągłymi, przejawianymi w niektórych stolicach imperialistycznych i znajdującymi wyraz w wypowiedziach niektórych przywódców zachodniego sojuszu wojskowego. W obliczu zachwianej pozycji irańskiego szacha, uważanego w tych kołach za gwaranta interesów Zachodu — znajdują się w zachodnich kancelariach ludzie igrający myślą o zbrojnym wspomoczeniu zachwianemu reżimowi.

Wysoce znamienna jest w tym kontekście nagła wizyta, jaką złożył w końcu listopada w Teheranie głównodowodzący sił NATO w Europie generał Alexander Haig. Pan ten znany jest ze swych licznych i publicznych wypowiedzi, mających na celu lansowanie wyścigu zbrojeń. Wiadomo o nim, że strojąc się w szaty „pierwszego rycerza Zachodu” marzy w głębi duszy o amery-

kańskiej prezydenturze w bliższej lub dalszej przyszłości. Oczywiście, działalnością polityczną profiluje się na swego rodzaju „prezydenta stanu wyjątkowego”. Teraz też nie zaniedbał okazji.

Władzę w Teheranie objął z polecenia szacha rząd wojskowy. Nie ulega kwestii, że wizyta generała Haiga, który jako głównodowodzący NATO nie ma w Iranie formalnie nic do szukania, ma w istocie na celu wizję lokalną: kontrolę szans tego rządu na spacyfikowanie zapalnej sytuacji w Iranie, rozważenie czy, a jeśli tak to ewentualnie kiedy i w jakich rozmiarach, byłaby „niezbędna” amerykańska bezpośrednia „pomoc” w Iranie.

Warto przypomnieć, że „pomoc” taka była już skutecznie udzielana. Na początku lat pięćdziesiątych szach Iranu został obalony i wygnany przez ludową rewolucję, jednoczącą szeroki wachlarz sił patriotycznych i postępowych, a także licznych duchownych muzułmańskich. W 1953 roku USA, za pomocą osławionej Centralnej Agencji Wywiadowczej, zorganizowały wojskowy zamach stanu, który przywrócił władzę szach-in-szacha i ustalił wpływy USA w Teheranie.

Od tego czasu armia irańska jest oczkiem w głowie i szacha i Pentagonu. Iran zakupił najnowocześniejszy amerykański sprzęt wojskowy za 13 miliardów dolarów. Armia została zreorgani-

zowana i przeszkolona przez amerykańskich oficerów. Podobnie policja i ostawiona SAVAK — policja tajna, przeciwko której w prasie zachodniej mnożą się od lat oskarżenia o torturowanie więźniów. Na tej właśnie armii opiera się dziś władza w Iranie.

Prasa światowa coraz częściej zapytuje „jak skutecznie i jak długo?” Niewątpliwie, kierownicze siły Waszyngtonu pragną aby i długo i skutecznie. Po to właśnie generał Haig w Teheranie. Tyle tylko, że niewiele jest zapowiedzi ostatecznego uspokojenia nastrojów w Iranie, kapitulacji sił przeciwnych obecnemu reżimowi — przeciwnych resztą z różnych przyczyn i społecznych i ideowych.

50 tysięcy amerykańskich specjalistów przebywających w Iranie wysyła gwałtownie swe rodziny i zasoby do krajów dla nich bezpieczniejszych. Równocześnie naród irański przeżywa tragedię codziennego prawie przelewu bratniej krwi w masowych demonstracjach i pacyfikacjach. Wszyscy patrzą na irańską armię. W jakim stopniu jest ona narodowa — mimo obcych wpływów? W jakim jest oddana swym amerykańskim instruktorom? Odpowiedzi na te pytania zadecydują o najbliższej przyszłości Iranu.

gad

ZSRR – ETIOPIA:

UKŁAD O PRZYJAŹNI I WSPÓŁPRACY

Leonid Breżniew i przebywający z wizytą oficjalną w ZSRR przywódca Etiopii Mengistu Haile Mariam podpisali w Moskwie Układ o Przyjaźni i Współpracy.

W Etiopii, która 12 września 1974 roku po detronizacji cesarza rozpoczęła jedną z najgłębszych rewolucji na kontynencie afrykańskim, realizuje się dekret o reformie rolnej. Obecnie do 27 tys. podstawowych zrzeseń chłopskich należy około 8 milionów obywateli. W miastach działają związki zawodowe. Nadal jednak rewolucję etiopską usiłują zahamować siły, których źródeł należy szukać w reakcyjnych reżimach regionu sąsiadującego z rogiem Afryki, a wspieranych przez imperializm. Także wojna z Somalią o Ogaden była jedną z wielu prób osłabienia Etiopii.



Wspólnota socjalistyczna popiera dążenia ludu Etiopii do konsolidacji władzy rewolucyjnej, mającej na celu dobro etiopskiego ludu.

Na zdjęciu: przewodniczący Tymczasowej Wojskowej Rady Administracyjnej Etiopii Mengistu Haile Mariam.

POLSKA – ANGOLA: WIZYTA PRZYJAŹNI

Na zaproszenie prezydenta Ludowej Republiki Angoli, dr. Agostinho Neto, oficjalną wizytę przyjaźni w LRA składa przewodniczący Rady Państwa PRL, Henryk Jabłoński.

Polskę łączy z młodą republiką Angoli więzi przyjaźni i współpracy. Między obydwojoma krajami istnieją porozumienia o współpracy gospodarczej i naukowo-technicznej. Angolską Partię Pracy MPLA łączy także porozumienie o współpracy z Polską Zjednoczoną Partią Robotniczą.

Młoda republika nie szczędzi wysiłków, by skutecznie przeprowadzić reformy społeczne i ekonomiczne w kraju. Wielki program oświatowy zmierza do całkowitej likwidacji analfabetyzmu.

Na zdjęciu: lekcja w szkole podstawowej w Luandzie, stolicy Angoli.



BLISKI WSCHÓD:

POTĘPIENIE ANWARA SADATA



Jak podała iracka Agencja Informacyjna INA, prezydent Anwar Sadat został uznany „winnym zdrady wobec ludu egipskiego oraz narodu arabskiego” i pozbawiony „przynależności do narodu arabskiego”. Takie orzeczenie wydał trybunał społeczny, który zwołano w Bagdadzie, a w którego skład wchodziłi przedstawiciele Algierii, Egiptu, Iraku, Ludowo-Demokratycznej Republiki Jemenu, Libanu, Libii, Syrii oraz Organizacji Wyzwolenia Palestyny. To orzeczenie zostało wydane dla osądzenia kapitulanczej postawy Sadata wobec Izraela i jego separatystycznych rozmów z Beginem.



IRLANDIA PÓLNOCNA: NASILENIE TERRORU

W Irlandii Północnej doszło ostatnio do fali zamachów bombowych w wielu miastach — m. in. w Newry, Londonderry, Cookstown i Downpatrick. Niedawno bojówka Irlandzkiej Armii Republikańskiej porwała pociąg towarowy na pograniczu Republiki Irlandzkiej z Irlandią Północną, będącą prowincją Wielkiej Brytanii. Podczas zamachów bombowych ucierpiał sklepy, domy towarowe, w Newry zniszczona została fabryka. Zdaniem komentatorów, wzmożona fala akcji Irlandzkiej Armii Republikańskiej przeciwko obecności Brytyjczyków w Irlandii Północnej ma związek z wizytą w USA Roya Masona, ministra do spraw północnoirlandzkich. Minister utrzymywał, że przemoc i terror w Irlandii Północnej zdecydowanie osłabły — w ten sposób usiłował zachęcić przemysłowców amerykańskich do inwestowania na tym terenie.

Na zdjęciu: po wybuchu bomby podłożonej przez terrorystów w browarze, w Bellaście.



HISZPANIA: UDAREMNIONY SPISEK

W Hiszpanii udaremniona została próba faszystowskiego zamachu stanu. Zamachowcy przewidywali uwieszenie w pałacu Koncloa premiera Adolfo Suarez i jego gabinetu. Celem ich było zahamowanie procesu demokratyzacji kraju. Udaremniony spisek zbiegł się ze zwołaniem w Madrycie zjazdu europejskich faszystów, zapowiadanego już od lata tego roku.

Ostatnie wydarzenia w Hiszpanii są kolejnym przejawem walki pomiędzy ludem Hiszpanii a pogrobowcami frankizmu wspieranymi przez określone siły, których międzynarodowe agencje prasowe doszukują się w niektórych kręgach NATO.

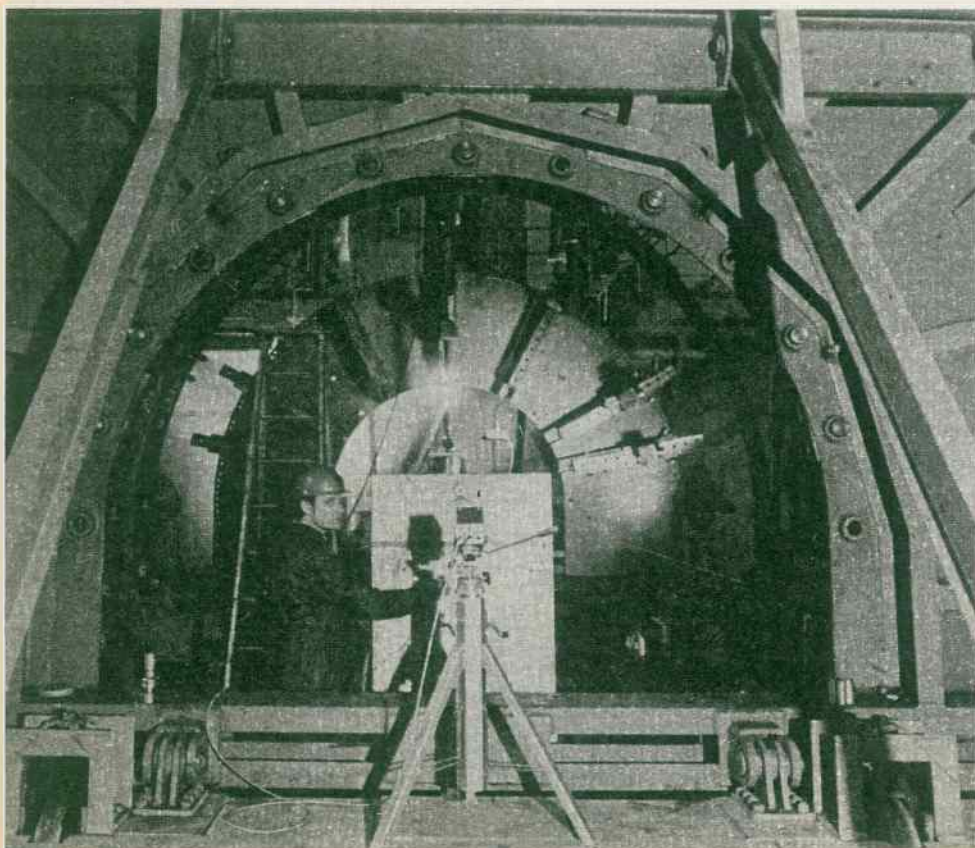
Na zdjęciu: w wielu punktach Madrytu można zobaczyć na murach zamalowane hasła antyfaszystowskie.

GUJANA: TRAGEDIA W DZUNGLI

Światową opinią publiczną wstrząsnęła wiadomość z Gujany, gdzie — jak donoszą zachodnie agencje prasowe — 923 członków kalifornijskiej sekty „Świątynia Ludu” popełniło masowe samobójstwo. Napływające do Gujany wiadomości są sprzeczne; wiadomo tylko, że wysłana do tego kraju delegacja amerykańska pod przewodnictwem kongresmena Leo Ryana wpadła w zasadzkę.

Rząd Stanów Zjednoczonych wyraził chęć zbadania tej niesamowitej sprawy do końca.

Współpraca Polski i Związku Radzieckiego w przemyśle wydobywczym trwa już ponad trzydzieści lat. Radzieccy specjaliści pomagali w odbudowywaniu i uruchamianiu naszych kopalń, kombajny „Donbas” stanowiły podstawę mechanizacji polskiego górnictwa węglowego. Rozwój myśli technicznej sprawił, że jesteśmy obecnie równorzędnym partnerem handlowym ZSRR; nie tylko korzystamy z radzieckich urządzeń, także nasze maszyny pracują w kopalniach Kraju Rad, a współpraca naukowo-techniczna rozszerzyła się na wszystkie dziedziny związane z wydobyciem węgla.

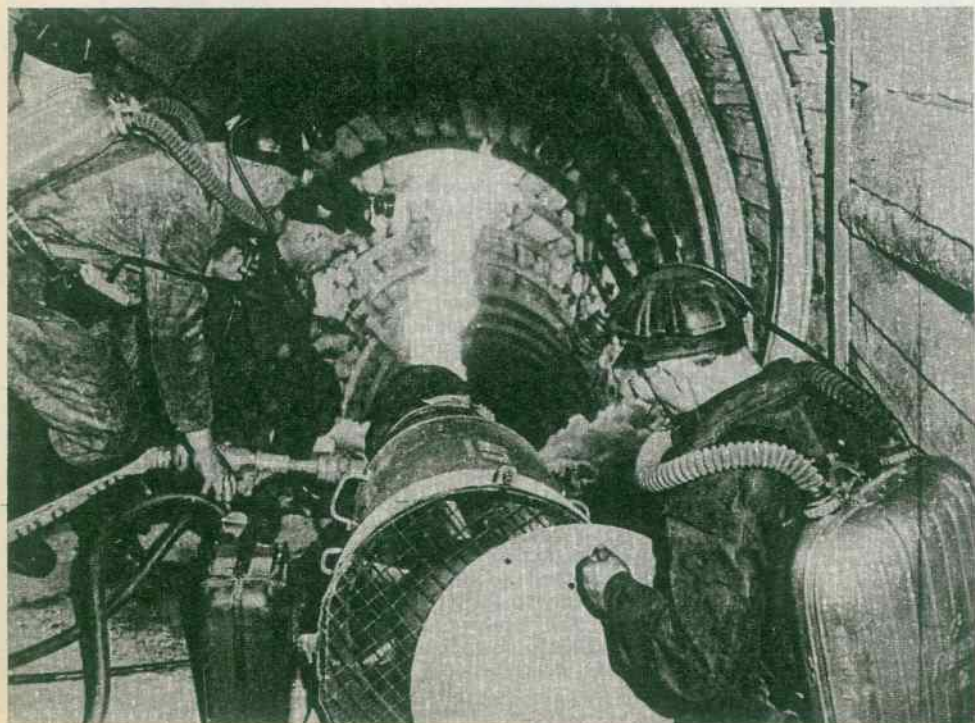


Główny Instytut Górnictwa współpracuje z wieloma radzieckimi placówkami naukowymi, najwięcej — z Instytutem im. A. A. Skoczynskiego w Moskwie.

Zdjęcia: CAF—Radkiewicz, ARC



Polscy i radzieccy naukowcy zajmują się m.in. problemami ratownictwa górniczego



— Z pomocą radzieckich specjalistów rozwiązywaliśmy szereg istotnych dla naszego górnictwa węglowego problemów, głównie z zakresu projektowania, budowy kopalń, technologii wydobycia, maszyn górniczych oraz bezpieczeństwa pracy. Korzystaliśmy i nadal korzystamy z ich bogatych doświadczeń. Zarówno w ZSRR jak i w naszym kraju naukowcy i praktycy myślą nad tym, jak uczynić pracę górnika wydajniejszą, lżejszą, bezpieczniejszą. Dlaczego więc nawzajem sobie nie pomagają, nie skoordynować i zintegrować wspólnych w tym zakresie wysiłków? — stwierdza Władysław Chtądzyński, pełnomocnik ministra górnictwa, dyrektor Departamentu Eksportu i Współpracy z Zagranicą.

• Najdłuższe kontakty naukowo-techniczne ze specjalistami radzieckimi mają pracownicy GŁÓWNEGO BIURA STUDIÓW I PROJEKTÓW GÓRNICZYCH oraz „SEPARATORA” — GŁÓWNEGO BIURA STUDIÓW I PROJEKTÓW PRZERÓBKI WĘGLA. Konstruktorzy wykorzystują swoje doświadczenia przy rozwiązywaniu interesujących obydwie strony problemów. Polacy opracowują na przykład dla ZSRR projekty zakładów przerobczych i kopalń, ostatnio — „Obuchowskaja” w rejonie rostowskim i „Bogdanowskaja” w Zagłębiu Donieckim. Z kolei radzieccy inżynierowie oddali do naszego użytku plany kopalń: „Ornontowice” i „Kaczyce” w Rybnickim Okręgu Węglowym.

• Specjaliści każdego z krajów opiniują prace drugiej strony, przedmiotem ekspertyz były projekty zakładów przerobczych kopalń: „Generał Zawadzki”, „XXX-lecia PRL” i „Suszec” w Polsce oraz „Peczorskaja”, „Zdanowskaja-Kapitalnaja” i „Wostocznojaja” w ZSRR.

Dyrektor d/s eksportu Głównego Biura Studiów i Projektów Górniczych Włodzimierz Cudzik uzasadnia bardzo prosto celowość utrzymywania tego typu kontaktów:

— Nie musimy powtarzać prac, które już mają za sobą radzieccy projektanci i konstruktorzy. Uzyskujemy skrócenie czasu i zmniejszenie kosztów wykonania projektów.

• Na wymianę doświadczeń z partnerami radzieckimi postawił również GŁÓWNY INSTYTUT GÓRNICZWA w Katowicach. Najczęstsze kontakty utrzymuje z INSTYTUTEM IM. A. A. SKOCZYŃSKIEGO w Moskwie. Przewodzone są wspólne badania, konsultacje, szkolenia. Są to zagadnienia nowych systemów eksploatacji pokładów węgla z uwzględnieniem metod zapobiegania tąpniom, a także ochrony obiektów na powierzchni, zwalczania zagrożeń górniczych, opracowania nowych bezpiecznych materiałów wybuchowych, zwalczania zapylenia w przodkach górniczych. Są to wspólne próby wytwarzania z węgla paliw gazowych i płynnych, w czym ma swój udział również INSTYTUT GAZOWNICTWA I PRZEMYSŁU NAFTOWEGO w Krakowie.

WSPÓLNIE

Mirosław Trombik z laboratorium geofizyki był jednym z tych, którzy brali udział w sprawdzeniu nowej aparatury sejsmicznej w kopalni w Apatytach.

— Aparatura jest dziełem naszym i radzieckich konstruktorów — mówi. Pomagali nam również projektanci czechosłowaccy i NRD-owscy. Wykonali ją Polacy, a badania w Apatytach na Półwyspie Kola pozwoliły na ujawnienie istniejących jeszcze braków. Po ich usunięciu rozpoczniemy produkcję tych aparatów na potrzeby wszystkich krajów RWPG.

• Razem z INSTYTUTEM GEOMECHANIKI GÓRNICZEJ I MIERNICTWA z Leningradu pracujemy też nad metodami zwalczania tępów. Na ten temat ukaże się prawdopodobnie wspólna publikacja.

• Polsko-radzieckie wydawnictwa naukowe ukazują się również jako wynik badań naukowców WYDZIAŁU GÓRNICZEGO POLITECHNIKI ŚLĄSKIEJ i INSTYTUTU GÓRNICZEGO w Doniecku.

Na pytanie o tematykę badań profesor Henryk Gil, dziekan Wydziału Górniczego Politechniki Śląskiej wymienia kilka najważniejszych problemów z dziedziny górnictwa i przemysłu węglowego:

— Opracowujemy metody prognozowania i eliminowania zagrożeń górniczych, głównie wyrzutów węgla i skał oraz wpływu tych zjawisk na sieć wentylacyjną, analizujemy zagadnienia dotyczące budownictwa podziemnego i organizacji produkcji.

• Niektóre problemy rozwiązywane wspólnie przez specjalistów radzieckich i polskich przenoszone są na szerszą płaszczyznę — współpracy wielostronnej. 18 listopada zakończyła się 52 sesja Stałej Komisji Przemysłu Węglowego RWPG. Z państw-członków komisji właśnie Związek Radziecki i Polska mają największe tradycje i doświadczenia w górnictwie węgla kamiennego.

W.K.

„Druga twarz Księżyca” — tak zatytułował ALBIN SIEKIERSKI swoją najnowszą prozę, która uzyskała I nagrodę w ogólnopolskim konkursie na powieść o tematyce górniczej, zorganizowanym przez katowicki oddział Związku Literatów Polskich oraz Ministerstwo Górnictwa. Ten tytuł jest ważny, ponieważ mimochodem orientuje nas w sposobie ujęcia problematyki górniczej w całej twórczości prozatorskiej Albina Siekierskiego. Sam pisarz komentuje to tak:



Zdjęcie: Jan Hanusik

Pokłady mniej znane

ALBIN SIEKIERSKI: — Ta „druga twarz” — to są obszary nierozpoznane, a w każdym razie mniej znane, mniej widowiskowe. Bohaterem tej powieści jest sztygar, przy czym obiektyw nakierowany jest na jego życie prywatne, najgłębiej osobiste, co nie znaczy, że pozazawodowe, bo te sfery przenikają się w środowisku górniczym bardzo często na znacznych głębokościach. Mój bohater przeżywa bolesną porażkę w życiu osobistym; nie jest to porażka typu romansowego, lecz o wiele dotkliwsza, rozleglejsza. Zarazem ciśnienie obowiązków zawodowych nie zmniejsza się. On musi udźwignąć tę swoją klęskę, przejść przez ten ogień, przetrzymać to prywatne trzęsienie ziemi. Obserwuję go w tej szarpaninie, w tej dramatycznej próbie. I jest pytanie: czy pewne szczególne cechy, pewne właściwości twardej, męskiej szkoły jaką niesie z sobą zawód górniczy, pomogły mu wyjść cało z owego wewnętrznego kataklizmu? Nie narzucam tego Czytelnikowi, ale takie pytanie może się pojawić i myślę, że odpowiedź byłaby twierdząca.

PANORAMA: — Czy to znaczy, że gdyby bohater nie był górnikiem, nie udźwignąłby tych osobistych ciężarów?

A. S.: — Niekoniecznie musi być górnikiem, ale na pewno musi być człowiekiem takiego zawodu, który na co dzień uczył go ponosić odpowiedzialność, decydować, myśleć nie tylko o sobie, lecz i o innych.

P.: — Przy tym pan sam nie był i nie jest górnikiem i nie pochodzi pan z górniczej rodziny.

A. S.: — Nie w tym rzecz i tak sprawy stawiać nie można, bo to jest trochę naiwne spojrzenie. Spotykam się z nim niekiedy. Ważne, że się tutaj urodziłem, na tej ziemi, w tym krajobrazie, z kopalnią w oknie, w zasięgu ręki. Mój ojciec nie był górnikiem, ale wujkowie, stryjkowie — tak. Nasz dom pełen był ludzi i spraw związanych z górnictwem. To było w Imielinie. Moje dzieciństwo, ten okres, kiedy jest się najbardziej wrażliwym, nasiąknięto mitologią, legendą górniczą. Ale nie tylko. To były lata trzydzieste, początek tych lat, czas kryzysu. Chodziłem do gimnazjum w Mysłowicach z chłopakiem, który się nazywał Piotrowski. Miał on głowę do matematyki. Syn górnik. I on musiał odejść z gimnazjum, ponieważ kryzys pozabawił jego ojca pracy. I tego zdolnego, bardzo zdolnego chłopaka spotkałem po paru latach na terenie biedaszybów,

widzę go jak stoi przy tym prymitywnym kołowrotku, skazany na żalotne, godne politowania bytowanie. Takie sprawy odkładają się w człowieku.

Wspomniałem to zdarzenie, ponieważ w nim właśnie zmaterializowała się wtedy krzywda ludzka, niesprawiedliwość społeczna. Ten typ doświadczeń zderzony z mitologią poddał ją surowej korekcie, odarł z owego baśniowego nimbu. Ale nie pomniejszył fascynacji ludźmi górniczego zawodu, ich obyczajem, kodeksem moralnym.

P.: — Jakie miejsce w owej fascynacji zajmuje Gustaw Morcinek. Lektury jego książek nie mógł pan zapewne wyminąć...

A. S.: — Bo to byłoby niemożliwe. Czytałem, oczywiście, ale pewnie my, tutaj na Śląsku, inaczej czytaliśmy Morcinka niż ktoś żyjący w Warszawie czy Poznaniu. Im mogło się zdawać, że książki Morcinka to są całkiem świeże raporty o życiu i pracy górnika. Dla nas to już były opowieści egzotyczne. Świat jego bohaterów, to był świat naszych dziadków z albumowym wizerunkiem kopalni i całą tą urzekającą mitologią. Owszem, zrobił na mnie silne wrażenie „Inżynier Szeruda”, bo to była rzecz współczesna. Ale głównie przejęły mnie powieści Poli Gojawczyńskiej i Juliusza Kadena Bandrowskiego. Widziałem tam górnik w znanym mi pejzażu społecznym i politycznym, w ścieraniu się sił i interesów. To miało piętno współczesności.

P.: — Kiedy więc zdecydował się pan na pisanie i właśnie o tym środowisku, musiał pan także dokonać wyboru określonej metody, słowem wiedział pan o czym będzie pan pisał, miał pan swoje środowisko, ale była kwestia jak. Rozumiem, że inaczej niż Morcinek...

A. S.: — Od pewnego czasu dosyć modne jest akcentowanie tej opozycji wobec tradycji morcinkowskiej. Widzę, że i pan popetnia ten błąd, czy raczej niedelikatność. Wielkość Morcinka w tym temacie jest niepodważalna, gdyby go nie było, pewnie długo byśmy błądzili nie bardzo wiedząc jak ten temat ugrzyć. Owszem, Artur Gruszecki, owszem Kaden Bandrowski, ale Morcinek to jest owa górnicza „Rzecz Czarnoleska”. A więc wybór innego modelu nie był wyrazem opozycji wobec obrazu jaki dał Morcinek, ale po prostu było już inne górnictwo, mechanizacja mocno je przeorała,

przeobraziła, pojawiły się nowe problemy, wysublimowały się bardziej problemy etyczne. Słowem stanęły przed pisarzem zagadnienia jakie niesie z sobą praca w socjalizmie, praca nie tylko w górnictwie.

Bardzo często czytam o sobie, że moje pisarstwo traktuje o pracy. Jest to prawda cząstkowa, trochę jakby zasłyszana. Zresztą, zgoda, o pracy, ale o produkcji nie piszę, tego trzeba doświadczyć na własnej skórze. Ja skupiam uwagę na problematyce moralnej. W „Czarnych i białych piórpuszach” na przykład pytam, gdzie jest granica odpowiedzialności, jak dalece dyrektor kopalni może podejmować ryzyko w imię zaspokojenia własnych ambicji, w imię sukcesu produkcyjnego. Pamiętamy zawsze, że nie mamy do czynienia z profesją sielankową. To jest górnictwo, praca kilkaset metrów pod ziemią, oko w oko z żywiołem. Stawką jest ludzkie życie. Prawda, że tzw. obudowy kroczące gruntownie zmieniają sytuację człowieka na dole, strop nie jest już tak groźny, ale mechanizacja także niesie swoje niebezpieczeństwa. Zwłaszcza wtedy, gdy zderza się z nią całkiem świeży, dopiero co upieczony górnik. Sztygar, kierownik oddziału, dyrektor kopalni mają do wykonania określone zadania produkcyjne, ale muszą również zrobić kawał roboty wychowawczej.

To drugie zadanie: wychowywanie człowieka nie jest wcale mniej ważne od pierwszego. Pomiędzy tymi dwoma zadaniami wytworzą się pole silnych napięć i to mnie przyciąga, to mnie najżywiej porywa jako pisarza.

P.: — W gruncie rzeczy problemy, które pan stawia, dają się oderwać od górnictwa i przenieść na inne profesje i środowiska. Kopalnia jest tu jakby tłem...

A. S.: — Chyba jednak nie tłem, bo ta kopalnia jest w ludziach, w moich bohaterach, w każdej chwili, nawet wtedy, gdy akcja nie dzieje się pod ziemią. Ale z drugiej strony, czy to źle, że te problemy dają się uogólnić? Ale uogólnienie nie musi oznaczać wypreparowania sprawy z konkretnych warunków.

P.: — Kiedy teraz na świeżo przeczytałem kilka pana książek pomyślałem, że być może czytelnik np. w Suwałkach nie dowie się dokładnie jak wygląda mechanizm działania współczesnej kopalni.

A. S.: — Ależ on to wie! Bardzo często wie! Czy zdaje pan sobie

sprawę jaka jest dzisiaj wiedza o kopalni, o górnictwie, jak wielu ludzi przewija się przez kopalnię? Nie wszyscy wytrzymują, bo to jest ciężka szkoła charakterów. Ale ci, co tylko się przewinę przez górnictwo i wracają do domów, do wsi i miasteczek w najodleglejszych punktach naszego kraju, zabierają ze sobą wizerunek tej kopalni, z którą się zetknęli, opowiadają w swoich domach. Od tej wierzchniej strony kopalnia jest zatem znana szeroko. W końcu i telewizja też często zagląda na dół, na ścianę, pewnie nie pokaże tego rzetelnego mozołu, bo to jest niemożliwe, ale elementarne wyobrażenie o kopalni i pracy górnik ma dziś bez mała każdy Polak. Natomiast o tym, jacy ci ludzie są, jak i o czym myślą, jak się rozwijają, jaką mają wrażliwość, jak patrzą na współczesny świat — wie się mniej. I to są obszary przeznaczone dla literatury.

P.: — Jakie akcenty, pańskim zdaniem, dominują we współczesnej powieści górniczej?

A. S.: — Jak powiedziałem — problematyka etyczna, wychowawcza i pewna szczególna sytuacja w sferze obyczajowej. Można to np. zaobserwować w próbie uchwycenia na gorąco tego, co wynika ze zderzenia się różnych tradycji obyczajowych, kulturalnych, regionalnych. Do kopalni przybywają ludzie zewsząd, uczą się, zakładają rodziny, przyjmując wiele z tradycyjnej obyczajowości miejscowej ale i wnosząc coś swojego, z czym wrażliwość, co wyssali z mlekiem matki.

To wzajemne wzbogacanie się tych zasiedlonych tu od lat, od pokoleń z piękną tradycją górniczą i patriotyczną, i tych, co tu przybywają, aby wspólnie podejmować tę męską, dojrzałą sprawę z węglem; to przenikanie się rodzi nową jakością, której jeszcze nie umiemy nazwać; bacznie przyglądając się jej socjologowie i wprowadzając korekty do rozmaitych swoich, pospiesznych diagnoz. Myślę, że świadectwo tych przeobrażeń odnajdziemy jednak głównie w literaturze. Już je odnajdujemy. A trzeba też wierzyć, że i bezpośrednio stamtąd, z owego tygła wyłoni się jakiś szczyry i namiętny głos pisarSKI. I nie byłoby w tym nic dziwnego.

P.: — Dziękujemy panu za rozmowę.

Rozmawiał: FELIKS NETZ



Tajlandia realizuje program upraw zastępczych. Na dawniej opiumowych polach uprawia się ziola, owoce i warzywa zamiast „kwiatów złota”

TAJLANDIA

Tekst i zdjęcia: JERZY JAROSŁAWSKI

Kwiaty złota

KORESPONDENCJA WŁASNA „PANORAMY”

„You want some »ejcz«”? Jest to pytanie, które łazikujący turystycznie po Bangkoku „farang”, czyli cudzoziemiec, musi prędzej czy później usłyszeć. „Ejcz” to angielski dźwięk litery H. „H” jak heroina. Biały, podobny do pudru proszek, dający krótkoterminową przepustkę do krainy, gdzie wszystko jest dobre, proste i piękne. Pół miliona Tajlandczyków kupuje stale takie przepustki.

Sięgają przede wszystkim po heroinę, rzadziej po inną pochodną opium — morfinę. Nie wychodzi nadal z mody haszysz, który dają w obfitości chwasty c a n n a b i s, azjatyckich konopi. Można go palić, mieszać z płynami, dodawać do słodczy. Mają też swych zwolenników liście kratomu, rośliny zawierającej trujący alkaloid, zwany mitrogininą. Ale niekwestionowaną imperatorką narkotyków jest heroina, córka maku opiumowego i chemii.

W Tajlandii narkomania ma dwie maski — rzekł mi pan Ian Williams, Brytyjczyk, który z ramienia ONZ kieruje w Bangkoku Programem Walki z Narkotykami — domową i wyjściową. Jest to kraj, w którym nie tylko rośnie stale liczba narkomanów, i który ponosi z tego powodu coraz większe szkody społeczne, ale także kraj, z którego różnymi kanałami szmuglerskimi idą w świat ogromne ilości „sposzkowanych diabełków”, czyli heroiny.

W wydziale propagandy Centralnego Urzędu Kontroli Narkotyków pokazywano mi przybory szkolne (linijki, kalendarzyki, zakładki do zeszytów, ołówki) z tekstami ostrzegającymi dzieci przed nieznanymi „lekarstwami”, jakie mogą im wpaść w ręce. Rozdaje się także uczniom — jako przestrożę przed nałogiem — makabryczne kalkomanie z trupa czaszką o krwawiących (?) oczodołach. W tej profilaktyce nie ma przesady. Ze statystyk wynika, że 35 proc. narkomanów znajduje się wśród ludzi bardzo młodych, którzy nie ukończyli dwudziestu czterech lat, a sporo z nich chodzi do szkół średnich i wyższych, a nawet podstawowych.

W samym Bangkoku sądy rozpatrują rocznie ponad dziesięć tysięcy spraw z ustawy narkotykowej. Magłyby rozpatrzeć znacznie więcej, gdyby było więcej policjantów i sędziów. Już dawno ustalono, że przynajmniej większość wszystkich przestępstw spowinowacana jest bliżej lub dalej z narkotykami.

Niestychana kariera heroiny w Tajlandii wynika z kombinacji kilku czynników — powiedział mi generał Chavalit, szef podkomisji śledczej i operacyjnej Urzędu Kontroli Narkotyków. Ściśła prohibicja opium, ogłoszona w 1959 r. sprawiła, że zaczęto przerabiać je w tajnych rafineriach na łatwiejszą do ukrycia i przewozu heroinę. Okazało się jednocześnie, że to narkotyk tak potężny, iż opium ma się tak do niego jak szampan do spirytusu.

W dodatku można ją w Tajlandii nabyć niemal tak łatwo jak paczkę papierosów i niewiele drożej. Jest tania i łatwo dostępna, bo jest produktem miejscowym. Tajlandia należy przecież do tzw. Złotego Trójkąta. Na jej północnych kresach, przy granicy z Birmą i Laosem — Meosi, Karenowie, Lahusi i ludzie z kilku innych miejscowości etnicznych, przeważnie pochodzenia tybetańsko-birmańskiego, uprawiają na swych wzgórzach mak opiumowy (*papaver somiferum*). Co prawda, najwięcej surowego opium w Złotym Trójkącie, bo aż 500 ton rocznie, produkuje Birma, ale — po przeróbce — niemal w całości przemycane jest ono do Tajlandii, a stąd dalej w świat.

Zapotrzebowanie na azjatycką heroinę jest w tej chwili kolosalne. Stare źródła europejskie (Iran, Turcja, Liban, Afganistan, Pakistan) wyschły prawie zupełnie. Z kolei odbiorcy w Stanach Zjednoczonych dotkliwie odczuwają zmniejszony napływ narkotyków z Meksyku i innych krajów latynoskich. Toteż ani w Europie, ani w USA nie ma najmniejszych kłopotów ze zbytem i to z fantastycznym, kilkudziesięciokrotnym zyskiem. Dziesięć kilogramów opium kupione za około 300 dolarów po przekształceniu w kilogram heroiny nr 4 kosztuje w Bangkoku pięć razy więcej, ale w Nowym Jorku już pół miliona.

Tajlandia wprowadziła karę śmierci — i to w trybie przyspieszonym — za wyrób i wywóz heroiny, ale syndykaty handlarzy podjęły zuchwałe wyzwanie. Zarobek wart jest nadstawiania karku. Tym bardziej że ryzyko rozdzielane bywa nierówno. Więzienia zapelniają się płotkami przestępczymi, ale grube ryby pływają spokojnie na głębinach niedostępnych na ogół dla Interpolu i policji tajlandzkiej.

Generał Chavalit jest zdania, że złamać kręgosłup temu zbrodniczemu przemysłowi można tylko w ten sposób, jaki zastosował szach w Iranie. Ograniczyć najpierw, a potem redukować stopniowo powierzchnię upraw makowych. I wymierzać bezlitosne kary nie tylko za obrót, ale za używanie i posiadanie narkotyków. Dopóki wysiewane są owe kwiaty zła, dopóty będzie istniała magnetyczna pokusa, by robić z nich użytek.

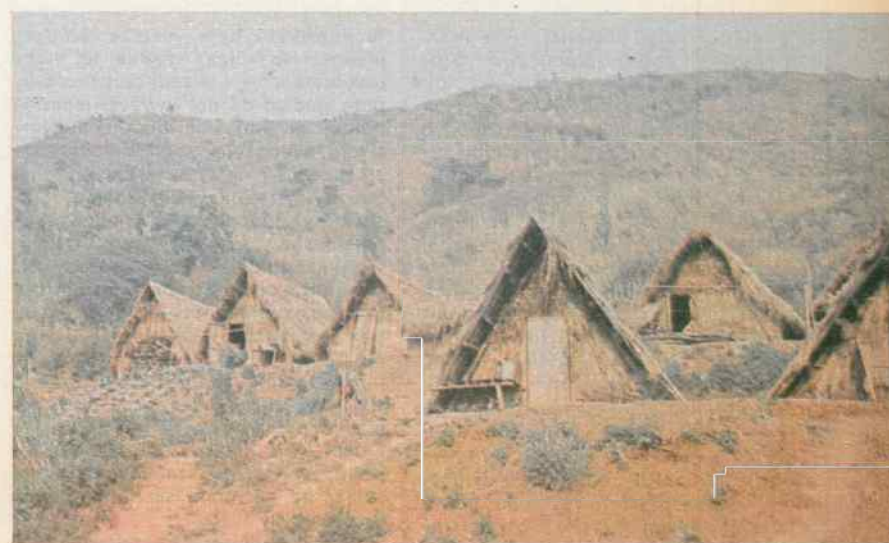
Wśród wszystkich metod walki ze sprzedawcami „białej śmierci” i jej klientami, być może jedyną, która ma naprawdę przyszłość jest tak zwany program upraw zastępczych. Jego sztab mieści się w Chiang Mai, drugim co do wielkości mieście Tajlandii, zwanym Różą Północy.

Pojechałem tam, chociaż wysiane jesienią maki już przekwitły. Czerwono-białe płatki opadają w lutym, potem nacina się pionowo makówkę. Wyptywa z niej sok mleczny, który wkrótce nabiera barwy brązowej i tężeje w woskową masę o zapachu ziemniaczanym. Plantator zdrapuje niekształtne zlepki, wkłada je do garnka czy koszyka spokojny, że nie będzie długo czekać na nabywcę.

Zapłata będzie wprawdzie marna, ale za to pewna.



Opium to dla górali często jedyne źródło utrzymania i lekarstwo



Ang Khang — jedna ze stacji doświadczalnych upraw zastępczych

— Oto pierwszy powód, dla którego uprawiany jest mak — to słowa Dicka Menna, Amerykanina, który ze strony ONZ steruje z Chiang Mai tajlandzkim eksperymentem zastępowania upraw maku, kawą, fasolą, pszenicą, warzywami, a nawet kwiatami.

— Pomysł nasz jest prosty — wyjaśnia Dick. — Zasada się na fakcie, że hodowca maku to biedak ledwo wiążący koniec z końcem. Sprzedaje opium dla zarobku, żebraczego zresztą, bogacą się na nim inni, on sam nie ma najczęściej pojęcia, że jest wyzyskiwany. Ale ta nierówna transakcja to właściwie jedyna szansa polepszenia jego lichej egzystencji. Po prostu nie ma nic innego, za co by mógł dostać pieniądze. Blisko półmilionowa społeczność kilkuset górskich wiosek jest enklawą świata odmiennego pod każdym względem od reszty Tajlandii. Jest to świat prymitywny, żyjący z koczowniczego rolnictwa żarowego. Polami są wypalone kawały dżungli, porzucane po wyjąłowieniu. Górale są stale niedożywieni, cierpią głód, który oszukują za pomocą surowego opium.

Eksperyment tajlandzki — wspomagany finansowo przez ONZ — polega na przekonywaniu górali, że bardziej opłacać im się może uprawianie wielu innych rzeczy. Argumenty są namacalne, to znaczy — wytypowano pięć wiosek „pilotowych”, a wokół każdej z nich jeszcze po pięć wsi satelitarnych, których mieszkańcy przestawiają się z wolna z monokultury opiumowej na sałatę, ziemniaki, owies, koper czy groch. Ponadto w sąsiedztwie rozrzuconych jest kilka stacji do-

świadczalnych, które są jakby laboratoriami rolniczymi owych wiosek. Np. w 50-hektarowej stacji Ang Khang (półtora kilometra n.p.m.), która jest ośrodkiem badawczym dla okolicznej narodowości Lahu — są minisady brzoskwiniowe i morelowe, rabaty róż, lawendy i frezji, półka japońskiego rumianku (dobry środek owadobójczy), a także zalążki hodowli jedwabnika i pieczarek.

Dyrektor stacji, ksiądz Bhisates jest pełnym zapału optymistą, ale i realistą. Zdaje sobie sprawę, że program upraw zastępczych to nie akcja, lecz proces, który musi trwać lata i kosztować jeszcze bardzo dużo wysiłków i pieniędzy. Obszar uprawy maku to mniej więcej 20 tysięcy hektarów, na których pracuje około ćwierć miliona ludzi. Trzeba ich przede wszystkim wydobyc z nędzy, uwolnić od widma głodu. To znaczy dać gwarancję, że za swe nowe produkty będą otrzymywali sporo więcej niż za opium. Po to zaś, by górale zrozumieli, że są jeszcze inne racje — nie tylko materialne — by poniechać opium, potrzebna jest choćby elementarna oświata, elementarna higiena i co za tym idzie ochrona zdrowia, z normalną a nie opiumową medycyną.

Ale i to jeszcze nie wszystko. Przecież handel narkotykami to business międzynarodowy, wielka gra, w której nie obywa się także bez polityki. Kto wie, jak zachowają się potężni „ojcowie chrzestni” opiumowych

CIĄG DALSZY NA STR. 22

Meosi na polu wykarczowanym pod uprawę kawy





Ernest Bryll

PRZY OKAZJI...

Ukazał się maleńki PIWowski tomik poezji Stanisława Grochowiaka. Ten tomik — z tak zwanej „białej serii” — jest jak zwykle w przypadku tych małych podręcznych książek, pomyślany jako coś, co dobrze jest trzymać w kieszeni, mieć ze sobą, poczytać od czasu do czasu.

I pewno tak będą go w kieszeni nosić liczni wielbiciele poezji Staszka. Ci, co mają w bibliotekach wszystkie jego tomiki od wspaniałego debiutu jakim była „Ballada Rycerska” aż po ostatnie, pisane już w chorobie wiersze...

Byłem kolegą Staszka. Pamiętam jego pierwszy tomik, który na nas, dorabiających się swego, młodych pisarzach, zrobił piorunujące wrażenie. Staszek startował jako poeta katolicki i tym bardziej dla nas, zaufanych w przekonaniu, że to my mamy monopol na zaangażowanie we współczesność, zaskakujące i zawstydzające były jego wiersze. Wiersze właśnie jak „Ballada Rycerska” dedykowana Majakowskiemu o wiele bardziej od naszych oddające swój czas. Właśnie to powołanie się na Majakowskiego przez poetę, który wydawał nam się zobowiązany do mglistego mistycyzmu najbardziej denerwowało. Ale i zachwycało. Oto po wielu naszych napuszonych wypowiedziach, po nieudanych próbach, aby naśladować wielkiego poetę Rewolucji pojawił się z boku Ktoś i nagle uczynił to, czemu nie mogliśmy dać rady. Trochę więc z bólem — bo poeci są zazdrośni, a było o co — a trochę z radością, pisało się pochwalną recenzję w „Sztandarze Młodych”.

Staszek wtedy zbierał się chyba do opuszczenia Wrocławia i przyjazdu do Warszawy. W tej Warszawie spotkaliśmy się w redakcji pisma, które wariacko poczęte, doła potem nazwę całemu pokoleniu. Śmieszna to była ta redakcja „Współczesności”. Wielki pokój podzielony przepierzeniami na coś w rodzaju boksów końskich, a w tych boksach szalejący młodzi redaktorzy. Atakowaliśmy kogo popadło, od Tuwima do współcześnie istniejących kabaretów, szukaliśmy niezbadanych dróg, no i popijaliśmy. Kiedyś, po jakiejś bibie, która skończyła jeden z naszych wspólnych wieczorów autorskich, nocowałem u Staszka. Mieszkał wtedy już w dziwnym, składającym się z kilku maleńkich mansardowych pokoiów mieszkaniu i tam budował to, co zapewniło mu miejsce nie tylko w historii literatury, pamięci krytyków, podręcznikach szkolnych ale przede wszystkim w sercu czytelników.

Na ogół nie lubię kiedy poeta czyta wiersze. Jednym z niewielu wyjątków był dla mnie Staszek. Czytał dziwnie akcentując, bardzo zawsze poważny ale w jego recy-

tacji wiersze były jeszcze bardziej piękne. No i tak właśnie tej nocy przeczytaliśmy i przedyskutowaliśmy parę godzin aż do wytrzeźwienia. A potem do redakcji bo kochaliśmy swoją redakcję ponad wszelkie zmęczenie i nigdy w życiu już chyba takiej redakcji nie znajdę. Staszek był jednym z najciekawszych publicystów, artykuły jego wywoływały polemiki — potem kiedy już prowadził pismo, dzień w dzień dręczył nas pytaniami: — No i co ciękawego będzie w numerze? Nic go nie zadowalało. W ogóle, jak myślę teraz o nim, zdałem sobie nagle sprawę, że był bardzo poważny. A jeśli o poezję szło — to, choć wyklócał się z Przybosiem, był mu podobny w takim szacunku dla tej sztuki, że aż robiło się nieco zimno i sztywno.

Czytywał wiersze dziewczynom czego nie bardzo lubiłem. Ale dla niego to, że pozwalał się zbliżyć ludziom do poezji było czymś w rodzaju nagrody i zaszczytu. I tak był o tym przekonany, że w najdziwniejszych sytuacjach potrafił ludzi zmusić do słuchania. Mówił o nim często jako o poecie brzydoty, pajęczyn, brudu. Dziś wydaje się to oczywiste, może nawet banalne. Ale on pokazał nam godność biedaków, nobilitował nasze szare i biedne życie i nauczył być dumny z tej brzydoty i powszedniości.

Staszek był bardzo dumny. Uważał, że być poetą — to jest być kimś ważnym. Czasami klóciłem się o to, bo nie lubiłem jak powiadałem, że poezja jest dla mnie czymś w rodzaju hobby, że to nie może być zawód. Dla niego poezja była powołaniem i nigdy nie zapominał o tym. Czasami nawet wydawał mi się zabawny w tej swojej dumie zawodowej kiedy to z naciskiem wymagał dla poezji szacunku.

A jednocześnie tak bardzo chciał napisać popularną piosenkę. Ten kto go nie znał prywatnie, nie wierzył jak ten jeden z najwybitniejszych poetów polskich starał się napisać dobry tekst do piosenki. Kto wie, może dlatego, że tak bardzo mu na tym zależało, że chciał stworzyć jakby nowy rodzaj poezji w pieśni, nie odniósł w tej dziedzinie wielu sukcesów. Pisał czasami piękne teksty ale żaden z nich nie był powszechnie śpiewany.

O ile jednak rozumiałem jego niepowodzenia tekściarza to nie potrafiłem i nie potrafię zrozumieć krytyki teatralnej, która lekko potraktowała wystawienie jego dramatów.

Jakoś tak pisano o nich mimochodem, aby dopiero po jego śmierci zorientować się, że straciliśmy jednego z najciekawszych dramaturgów i zacząć się nagle zachwycać „Lekami porannymi” czy „Chłopcami”. Może te gorzkie do-

świadczenia sprawiły, że Grochowiak tak wiele pisał dla Teatru Radia, gdzie go lubiano, a nawet kochano, a tak niewiele tekstów — jak na jego wielki talent — przeznaczył już w pierwszym zamyśle dla teatru. Prawdę powiedziawszy jedynym teatrem wiernie wystawiającym sztuki Grochowiaka, teatrem starającym się o niego, jako autora, był Teatr Polski w Warszawie. Tam zresztą zrealizowano większość jego sztuk. Tam przychodził i rozmawiał o swoich pomysłach.

Tak. Ten wielki poeta, po pierwszych młodzieńczych latach, kiedy to krytyka zachwycała się jego wierszami, przeżył i przez tę krytykę długi gorzki okres w życiu. Dziwne, ale właśnie wtedy, gdy stał się czymś więcej niż poetą, kiedy wiersze jego zdobyły niebywałą popularność — zaznał od recenzentów najwięcej złego. Nie był już nową twarzą, człowiekiem którego można lansować, był sobą niepowtarzalny, odrębny. I nie mieścił się w układach więc starano się wyrzucić go na margines. Na szczęście zawsze miał za sobą to, co najważniejsze: wierną miłość czytelników. Pamiętam jak chorował. Puchł, potem pojawiał się znowu wypuszczony ze szpitala suchy, mały, o twarzy coraz bardziej ptasiej. Nie mogłem być na jego pogrzebie. Wiem tylko, że kiedy go zabrakło, zabrakło mi czegoś w poezji polskiej, wierszy, które mnie czasami zachwycały, czasami denerwowały, ale wobec których nie mogłem pozostać obojętny. Bo były więcej niż ładnym rymowaniem, były tym co niejeden z nas wiedział gdzieś w sobie a co grochowiakowym piórem zostało wypowiedziane.

Dziś Staszek ma, o ile wiem, szkołę swojego imienia w rodzinnym wielkopolskim Lesznie, jest grupa poetów, którzy uważają go za patrona. Pewno doczeka się jeszcze innych zaszczytów.

Ale dla mnie najważniejsze, najbardziej przejmujące jest to, kiedy nagle znajduję się wśród ludzi i w jakimś momencie wzruszenia, kiedy inaczej niż wierszem nie sposób tego wyrazić, ludzie recytują na pamięć wiersze Grochowiaka. Na pamięć — co takie już dzisiaj rzadkie. Myślę, że tym którzy sięgną może po raz pierwszy po jego wiersze, kupią ten mały biały PIWowski tomik, no bo ładnie wydany, bo elegancko wygląda w nowo nabytej szafce bibliotecnej — ta mała książeczka zapali się wielkim ogniem poezji.

A i nam wszystkim, którzy znamy i Kochamy jego wiersze miło jest mieć tę maleńką książeczkę i nosić ją przy sobie jak fotografię kogoś z naszych najbliższych.

Stanisław Grochowiak: Poezje Wybrane. PIW, 1978.

Do „Cristalu” sprowadziła mnie notatka w „Głosie Wybrzeża”: Janusz Szulca, kelner z gdańskiego „Cristalu” zdobył brązowy medal na III Międzynarodowym Przeglądzie Gastronomicznym w Pradze.

Lokal I kategorii, z dansingiem i występami artystycznymi. Program zapowiada między innymi striptiz.

Punkt 23.00 składam zamówienie: sałatka z homara i krem z pieczarek na przekąskę, bażant jako danie zasadnicze, na deser — delicje staropolskie z owocami. Na głupią minę i wymowne rozłożenie rąk kelnera, Janusza Szulca, proszę stanowczo o przyjęcie kierownika zakładu.

Nadchodzi pan Henryk Lewandowski, kierownik „Cristalu”, a jednocześnie jeden z trenerów polskiej drużyny na międzynarodowe zawody „Gastropag-78”.

— Dlaczego nie ma tych dań w karcie? Wszystkie one były serwowane przez polską drużynę w Pradze...

Kierownik przeprasza, homarów i bażantów nie prowadzą na co dzień, delicji nie ma; brakuje bakalii. W zamian poleca sernik, na przekąskę tatar, a zamiast bażanta — pstrąga. Zgadza się wyrozumiale i prosi kierownika o rozmowę. Skoro nie może zaspokoić mego apetytu, niech przynajmniej zaspokoi moją ciekawość i opowie o sukcesach naszej gastronomii.

Przechodzimy do stolika z napisem „reservé”.

Kierownik jeszcze przed przekąską mówi:

— Nasi chłopcy wypadli rzeczywiście nieźle. Sukces jest tym większy, że z reguły w turniejach biorą udział zawodnicy z najbardziej luksusowych interhoteli. Natomiast nasi zawodnicy, zrzeszeni w „Społem”, reprezentowali gastronomię przede wszystkim popularną... W sumie w trzech konkurencjach — kucharskiej, cukierniczej i kelnerskiej zdobyliśmy 11 medali — złotych, srebrnych i brązowych.

Ale zanim doszło do ich wręczenia...

Przed startem

— Najbardziej gorące dni przeżyaliśmy u nas w kraju — opowiada kierownik. Zaproszenie do „Gastropagu” przeleżało w jakimś biurku kilka miesięcy. A przecież i gastronomicy przed takim konkursem powinni mieć obóz treningowy, solidnie się przygotować, nie mówiąc już o skompletowaniu sprzętu.

Krzesa wypożyczono z poznańskiej „Adrii”, świeczniki — z „Róży Wiatrów”. Odpowiedniego dywanu nie można było znaleźć w żadnym z lokali. Kupić też nie, jako że dywany są towarami rynkowymi i trzeba było wystąpić o specjalne pozwolenie wojewody. Podobnie ze sztucznymi. Po wygraniu pierwszej batalii — o pozwolenie kupna, trzeba było stoczyć drugą, żeby je zdobyć.

— Niestety, odpowiednich sztuczków nie udało nam się nigdzie kupić. Musieliśmy więc zadowolić się kompletem „Aleksander”, bardzo ładnym, ale nie posiadającym sztuczków o różnicowanych wymiarach, jak to jest przyjęte w światowej gastronomii.

Największy kłopot był z kieliszkami. Jedyny komplet godny pokazania znajdował się w gdańskim „Pewexie”. Po długich staraniach udało się go wypożyczyć. Zapakowane

starannie, pod osobistą opieką Janusza Szulca pojechały ciężarówką do Pragi.

Ledwie zdążono z urządzeniem stołu. Mgła i celnicy opóźnili przyjazd o kilka godzin. Do pomocy organizatorzy przydzielili fachową kwaciarkę ale ta usługa kosztowała sporo. Samo ułożenie ikebany — 2 tys. koron; nasi zawodnicy mieli tylko po 200 koron kieszonkowego. Nasz mistrz kelnerski sam więc ułożył ikebany z róż. Skromną ale gustowną.

Następnego dnia — uroczyste otwarcie przeglądu, odbywającego się w tym roku pod hasłem PRO CHUT A RADOŚĆ ŻYWIENIA, co w wolnym tłumaczeniu oznacza:

dobrze zarcie radością życia.

40 tys. prażan przez trzy dni oglądało zgromadzone w dwóch olbrzymich salach Pałacu Zjazdów — eksponaty. Świadomie piszę: eksponaty, bo była to uczta wyłącznie dla oczu, nie dla podniebienia. W jednej olbrzymiej sali w zamkniętych gablotach prezentowali swoje wyroby kucharze i cukiernicy. W drugiej — pokaz stołów restauracyjnych. Startowano w dwóch konkurencjach — stół regionalny oraz stół weselny.

— Proszę sobie wyobrazić — opowiada kierownik Lewandowski — kilkanaście stołów nakrytych złotą, srebrną i platerową zastawą, koronkowe obrusy, kosze kwiatów, wspaniałe meble. Drużyna z RFN przywoziła w kilkunastotonnowym sa-

mochodzie wiele zestawów mebli, kilkanaście zestawów stołowych, pół kwaciarni i własną ikebaniarkę do ich układania. Węgrzy pokazali krzesła z rogów jeleni, z oparciami z fantastycznej skóry. Zastawa — marzenie.

Szulc komentuje: kosztowało to chyba z pół miliona.

Na tym tle, polski stół weselny nazwany „srebrne wesele” wygląda skromnie. I to się podobało. Podobały się przede wszystkim biały obrus i serwetki z naturalnego lnu (haftowane według wzorów kaszubskich). Z tą bielą pięknie harmonizowały białe krzesła z niebieską tapicerką (wypożyczone z „Adrii”). Do tego prosta porcelana i świeczniki (z różnych gdańskich zakładów gastronomicznych) oraz kieliszki („Pewex”). Ta skromność nie wystarczyłaby może na „wesele zielone”, okazała się jednak bardzo wykwindna z okazji srebrnych godów.

W tej konkurencji potraw nie prezentowano. Jury oceniało wyłącznie aranżację, czystość stołu i odpowiedni dobór potraw. Janusz Szulc polecił menu również bardzo proste: tylko dwie przekąski — sałatkę z homara oraz krem z pieczarek, pieczony bażant jako danie zasadnicze, na koniec — lody „Kilimandżaro” z owocami. Do tego oczywiście różnego rodzaju napoje: aperitif, szampan, wina białe i czerwone...

— Tłum, że bałem się odejść by popatrzeć na konkurentów, żeby coś nie zgineło — wspomina bohater tego dnia J. Szulc, który przysiadł się na chwilę do naszego stolika.

— Chodziło mi zwłaszcza o te

kieliszki z „Pewexu”. Ale na szczęście nikt nic nie wziął. Widocznie nie ma tam tego zwyczaju.

Zaczęło się pod dobrą gwiazdą

ale pełne napięcia zdenerwowanie trwało aż do końca zawodów. W następnych dniach organizatorzy przeglądu przewidzieli bowiem konkurencje nieznaną naszej gastronomii: Janusz Szulc np. miał w ciągu trzech minut podać ugotowanego pstrąga: wytranzerował rybę (oddzielił mięso od ości), podzielił na porcje, udekorował, i zdążył jeszcze zdjąć z pstrąga skórę. Brawo!

Następne konkurencje poszły trochę gorzej. Przy tranzerowaniu drobiu pękła nieco pierś kury, a podczas wykańczania „suzette” (naleśniki z owocami) trochę brandy rozlało się również na owoce. Ale inni też się sypali: Rumunowi naleśnik spadł z półmiska wprost na piękny dywan, Bułgarowi kurczak podczas dzielenia rozpadł się na kawałki, a jeden z cukierników, niosący wspaniałą, olbrzymią tort rozłożył się z nim jak długi na posadzce...

— W sumie wypadliśmy niezle. Zwłaszcza biorąc pod uwagę krótki okres przygotowań.

— Nasi kelnerzy nie wykańczają potraw przy gościach, jak to jest przyjęte w światowej gastronomii, więc nie mają odpowiedniej praktyki — mówi pan Lewandowski. — U nas w zakładzie nie mamy nawet odpowiednich przyborów np. do tranzerowania ryb. Nasz medalista zetknął się z nimi właściwie po raz pierwszy dopiero na zawodach.

Koronnym występem naszej drużyny był tzw. stół narodowy. Trzeba było wydać obiad dla 12 osób, członków jury i wybitnych znawców gastronomii. Impreza nie była premiowana medalami, odbywała się właściwie poza konkursem, lecz oczywiście było, że jej przebieg może mieć wpływ na końcowy wynik rywalizacji.

Starali się więc wszyscy: w przygotowaniu obiadu wzięła udział cała drużyna. W reprezentacyjnej restauracji „Praž-Expo-58” zaszerwowano więc najpierw aperitif „siekierka” z przekąską w formie plecienki mięsnej. Następnie polewkę słowiańską — wywar z drobiu i grzybów plus kulki z mięsa drobiowego i szynki. Na drugie danie podano pieczeń staropolską z drążonymi ziemniakami plus pyzy faszzerowane plus pieczonka ziemniaczana plus cztery rodzaje surówek, m. in. sałatka z dyni z żurawiną oraz kapusta czerwoną z korzeniami. Na deser kompozycję galaretek „Telimena” i herbatę z dzikiej róży. Gościom smakował sok z czarnej porzeczki (nie-dostępny na rynku naszych południowych sąsiadów) oraz piwo „Krakus” (nie-dostępne u nas w kraju).

Prawdziwą rewelacją dla członków jury i zaproszonych gości okazał się „napitek Zagłoby”. Kocktajl z wermutu, wódki, miodu, masła i kilkudziesięciu rodzajów ziół. Podano go na gorąco. Tak rozgrzał członków jury, że nie chcieli odejść od stołu. „Konkurencja” trwała dwa razy dłużej niż przewidywał regulamin...

Następnego dnia — rozdanie medali. Polska ekipa zdobywa w sumie 11 krążków. A więc sukces! Największy bodaj sukces naszej gastronomii w ciągu ostatnich kilku lat.

Za rok „Gastropag-79”

Jedząc gotowanego pstrąga z wody, którego w „Cristalu” podaje się jednak w całości, ze skórą i ościami, odczuwam pewne wątpliwości: jaki pożytek z tej imprezy odniesie przeciętny zjadacz chleba, któremu nawet nazwa „suzette” nic przecież nie mówi.

Chyba trudno byłoby spodziewać się, że medale będą miały jakikolwiek wpływ na jakość i formę obsługi w gastronomii powszechnej. Nawiasem mówiąc, srebrna zastawa i dywan, zakupione specjalnie na imprezę, po jej skończeniu zamknięte zostały w dyrekcyjnym sejfie... czekając do następnej okazji.

— Uważam jednak — mówi kierownik Lewandowski — że była to impreza pożyteczna. Do Pragi pojechała nie tylko reprezentacyjna drużyna. Spółdzielnia Turystyczna „Gromada” zorganizowała specjalistyczną wycieczkę dla gastronomów, tak że Polaków było na „Gastropagu” bardzo dużo. I oczy nam się wszystkim otwierały, jak może wyglądać gastronomia. Nie tylko ta w Pałacu Zjazdów, tuż obok niemal te same potrawy podobnie podawane można było zjeść w normalnych restauracjach...

W uznaniu sukcesów jakie odnieśliśmy w „Gastropagu” i w poprzednich turniejach powierzono nam zorganizowanie podobnej imprezy w przyszłym roku. W Katowicach. Będzie to ciężka próba dla naszych gastronomów. Goście z zagranicy, którzy przyjadą na imprezę, będą nie tylko oglądać pokazy. Kiedy zechcą coś zjeść, wstąpią zapewne do naszych restauracji!...

KRZYSZTOF LENGIEWICZ



Tekst i zdjęcia: JERZY CHOĆIŁOWSKI

Wyrwać człowieka z paszczy tygrysa

KORRESPONDENCJA WŁASNA „PANORAMY”

W pierwszym odcinku tego reportażu („Kawałek Śląska w Biharze” PANORAMA nr 37) była mowa o dwu indyjskich kopalniach — Sudamdih i Munidih w Biharze — które noszą nasz autorski stempel. Jedną z tych kopalń można by nazwać „podwójnie polską”, gdyż tylko dzięki Polakom nie poszła na zagładę i jej ekipy nadal wyciągają urobek.

W Dhanbadzie jest budynek nazwany *Shanti Bhavan*, co znaczy Spokojny Dom, ale to, co się przygotowuje w jego ścianach będzie dla całej okolicy małą rewolucją. Kilku dziesięciu inżynierów (w tym dziewięciu projektantów z Polski) opracowuje tam kompleksowy plan zagospodarowania zagłębia węglowego Jharia i eksploatacji jego zasobów w naukowy, racjonalny sposób.

Zagłębie — mimo że już niemal w całości od sześciu lat znacjonalizowane — jest właściwie dalej w stanie chaosu, w jakim było dawniej. Znajduje się w nim aż ponad 80 zespołów wydobywczych, 190 szybów, w tym produkcyjnych — 138, ze średnią wydajnością 200 ton dziennie i 260 kopalń upadowych (234 produkcyjne), dających przeciętnie około stu ton na dobę.

Infrastruktury technicznej prawie nie ma, socjalnej — z wyjątkiem klubów i ambulatoriów — również nie. Osiedla i miasteczka rosną żywiołowo, pod powierzchnią zalegają w filarach setki milionów ton węgla

— spadek po starym nieekonomicznym górnictwie. Tę się także w porzuconych wyrobiskach dziesiątki niewygaszonych pól pożarowych. Toteż na drogach między kopalniami stoją tablice ostrzegające kierowców, że przejeżdżają tamędy na własne ryzyko.

Inż. Jerzy Majnka — wskazując na ten posepny, zaniedbany krajobraz z rzadkimi wieżyczkami szybów powiedział, że tak chyba stał lat temu wyglądać musiał Śląsk.

Dalekosiężna idea, jaka wykluwa się w dhanbadzkim biurze projektowym pod kierunkiem inż. Ryszarda Bieska — rozszczepiona została na dwie fazy. W pierwszej — wszystkie kopalnie skomasuje się w 40 bloków, mających łącznie 30 szybów wydobywczych (o średniej produkcji dziennej 3,5 tys. ton) i 10 „upadówek”. W następnej fazie — w roku dwutysięcznym — koncentracja postąpi jeszcze dalej. Bloków będzie 20 i tyleż szybów, dających przeciętnie 10 tys. ton na dobę. Tak więc zdolność produkcyjna całej Jharii wyniesie wówczas około 40 mln ton rocznie.

Wizja z rozmachem

Ale to nie wszystko. W naszej koncepcji mieści się także konieczna przy takim przedsięwzięciu infrastruktura. Powstaną więc: obwodnica kolejowa i drogowa, 15 nowych płuczek, stacje ratownictwa, zdawczo-odbiorcze stacje kolejowe, mosty, przepusty, sztuczne jezioro etc., a także sieć szkolnictwa zawodowego.

Wyrosną również nowe miasta, wyrzucone poza obręb działalności czysto górniczej. Nowe Jharia będzie miało milion mieszkańców, Kumaramangalam City — pół miliona, Barlacola — 300 tys., Munidih — 200 tys. Jest też propozycja ze strony indyjskiej, by planowane na pół miliona ludzi miasto New Mahada przemianować na Polonia City lub Katowice!

Przedstawiony przez nas w końcu 1976 r. kompletny już obraz przyszłości Jharii, zaskoczył gospodarzy swoim rozmachem. Uwzględnił przecież znacznie więcej, niżli tylko eksploatację złóż. Przewidywał re-

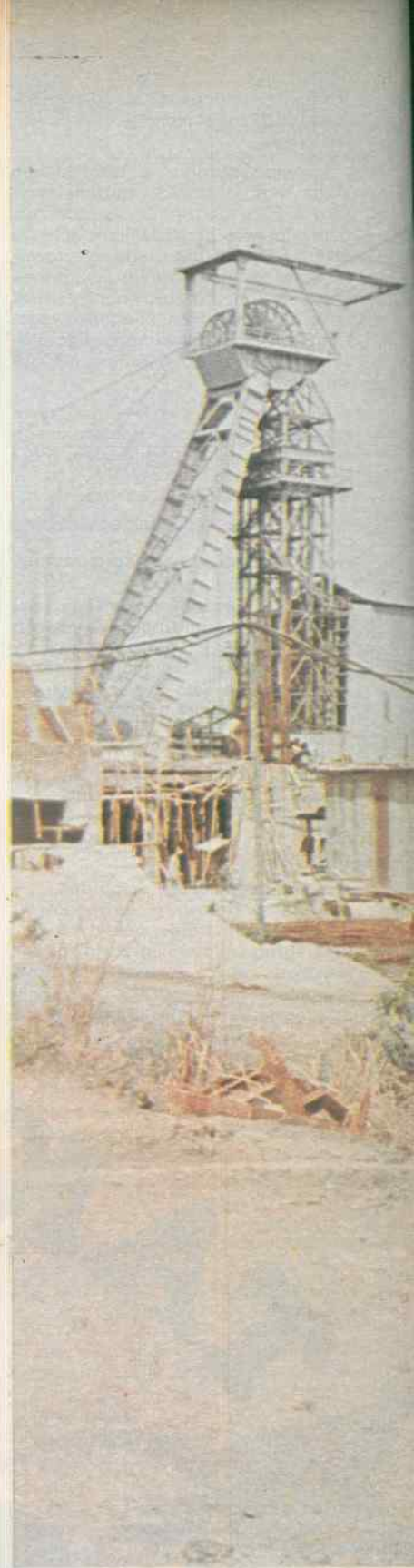
konstrukcję tego wszystkiego, co górnictwo niszczy, dostrzegając ochronę środowiska, której wagę w Indiach dopiero zaczyna się rozumieć.

Oczywiście, dyskusja obracała się przede wszystkim wokół dużych, ale nieuniknionych kosztów. Z tego właśnie powodu Hindusi mieli m.in. zastrzeżenia do kopalń głębinowych, woleli mieć tańsze — odkrywkowe, kuszące ze względu na dość płytkie zaleganie złóż. Ostatecznie przyjęto rozwiązanie kompromisowe. Nowy, zmodyfikowany wariant planu bierze pod uwagę większe odkrywki i tylko tam, gdzie będą one całkowicie niepraktyczne, zastosuje się wydobywanie głębinowe. Ale i tak przeciętna głębokość kopalni zwiększy się w Jharii do 300 metrów (obecnie 160 m).

Mimo takich czy innych różnic zdań, wymownym rezultatem naszych działań były dalsze kontrakty KOPEX-u: dla projektantów, dla eksperta od szkolnictwa zawodowego i na kompleks ścianek zmechanizowanych wraz z obsługą instalacyjną. Inż. Biesek powiedział mi również, że nasi partnerzy spodziewają się od KOPEX-u oferty na przedłużenie nadzoru nad Sudamdihem i Munidihem oraz dla naszego zespołu w dhanbadzkim biurze projektów.

Wszystko to otwiera przed nami zachęcające perspektywy dalszej współpracy. Jesteśmy na miejscu, mamy wiadomości z pierwszej ręki — jak wchodzić na indyjski rynek, jak wyprzedzać życzenia klientów, a także konkurencji. Nie mamy przecież w Indiach monopolu. Przyjeżdżają tam fachowcy z innych krajów, Amerykanie, Niemcy z RFN, Anglicy i kombinują jak nas „wyciąść” — wedle określenia inż. Majnki. Rzecz w tym, by nie wypuszczać z ręki dobrej szansy. Wykorzystywać szybko zebrane już doświadczenia i w odpowiednim czasie wychodzić z inicjatywą.

Jest o co walczyć, albowiem węgiel ma w Indiach przyszłość, zwłaszcza po wielkim kryzysie naftowym. Indie zarábiają sporo na sprzedaży węgla do państw EWG, do Japonii, na Tajwan i zamierzają ten eksport zna-



cznie rozszerzyć. Przedsiębiorstwo Coal India Ltd., którego filią jest BCCL — Bharat Coking Coal Ltd. w Jharii, chce zwiększyć krajowe wydobycie ze 100 mln ton obecnie, do przeszło 180 mln w połowie lat 80., i to głównie dzięki mechanizacji i modernizacji swych kopalń.

Możemy i my przy tym ogniu upiec swoje kasztany. I to zarówno przez włączenie się do tych inwestycji, gdzie już mamy otwarte konto, jak i próbując szczęścia w takich nowych dla indyjskiego kopalnictwa węglowego dziedzinach, jak dla przykładu ratownictwo czy telemetria.

„Nie kryli twarzy...”

Jeśli tak się stanie, to kolejne grupy naszych specjalistów wpiszą w swe biografie miesiące czy lata pobytu w Indiach. Ci, którzy tam już byli i ci, którzy są tam teraz — wiedzą, że jest to nowa szkoła życia. I wcale niełatwa. Daje się mocno we znaki okropny klimat, oddalenie od kraju, a z biegiem czasu może najbardziej monotonia.



Pod kierownictwem inż. Ryszarda Bieska powstał projekt zagospodarowania zagłębia węglowego Jharia

Kopalnia Sudamdih tylko dzięki Polakom nie została skazana na zagładę



Tak jest przynajmniej w Sudamdihu, gdzie lista atrakcji jest króciutka i nie ma na niej nawet kina — słowem niczego, co w każdym innym, najbardziej prowincjonalnym zakątku pomaga zabić wolny czas.

Większość polonii mieszka tuż obok siebie w ośmiu jednakowych domkach na okolonej murem hektarowej działce.

Od czasu do czasu, a ściślej w porze jesienno-zimowej, wleczo przynoszą rześki chłodek, odbywają się w Sudamdihu spotkania przy ognisku. Zaproszono mnie na jedno z nich, stąd wiem, że je się wtedy ziemniaki prosto z żaru, trochę gawędzi, a trochę śpiewa, przeważnie na nutkę nostalgiczną. Zresztą atmosfera nie była pozbawiona owej powagi, jaką zauważyć można zwykle, gdy zbierają się ludzie zamknięci hermetycznie w małym świątku; błaha nawet rozrywka nasycza się podówczas pewną ceremonialnością, której nie należy jednakowoż utożsamiać ze sztywnością.

Zbliżone wrażenie odniosłem wcześniej, tegoż popołudnia, pa-

trząc z trybunki sudamdihskiego stadionu na uroczyste rozdanie nagród w międzykopalnianych zawodach sportowych. Wyniki były mizerne, ale unosił się nad nimi duch barona de Coubertin, a zwycięzców honorowano tak, jakby ustanowili wspaniałe rekordy. W loży honorowej obecny był oczywiście pan S. K. Chowdhary, dyrektor generalny Sudamdihu i Munidihu, który zaprosił mnie nazajutrz do swego gabinetu na rozmowę: „Jam wolny — proszę bardzo” — mówi, popisując się żartobliwie zwrotami polskimi, jakich nauczył się m.in. podczas trzykrotnego pobytu na Śląsku, w tym raz aż pół roku.

Dyrektor narzekał na kiepską dyscyplinę swojej załogi, na braki w kwalifikacjach, na to, że wszystko trwa znacznie dłużej niż powinno, co odbija się niedobrze na wydajności. Niemniej, Sudamdih należy uważać za kopalnię pionierską, gdzie odkłada się na bok zużyte szabloni, a to w sposobie zarządzania, a to na polu opieki socjalnej i szkolenia kadr, a to wreszcie w sferze bezpieczeństwa pracy. Wszystko to

w przyszłości będzie dawato dywidendy.

Kapitał, jaki włożono w kopalnię zamortyzuje się, choć nie zawsze cęda to wartości, które da wyrazić się w sumach pieniężnych. Jest to niewątpliwie najtrudniejszy teren, jaki polskie górnictwo mogło sobie wybrać do kooperacji. Mimo to zdaliśmy doskonale egzamin partnerski, co widoczne jest wyraźnie z perspektywy lat, które minęły.

„Można bowiem udawać — konkluduje pan Chowdhary — prowadzić podwójną grę przez pewien czas, ale nie ciągle, w końcu fałsz, wyjdzie na jaw. Polacy nie kryli twarzy pod maskami i dlatego uważani są za przyjaciół”.

„To było fantastyczne”

Los zresztą chciał, że przyjaźń ta sprawdziła się nie tylko w codziennej pracy, ale i w okolicznościach dramatycznych i to dwukrotnie. Najpierw w październiku 1976 roku na poziomie 400 metrów wybuchł w Sudamdih metan. Było akurat święto bogini Durgi i przez trzy dni nikt nie zjeżdżał na dół i nie pracowały wentylatory. W poniedziałek rano, gdy sztygar wszedł z załogą na przodek, nagromadzony metan eksplodował. Na szczęście absencja była z powodu święta duża (60 proc.), lecz mimo to zginęło od razu 57 ludzi, a sześciu zmarło w szpitalu wskutek poparzeń.

Pierwsi w rejonie wybuchu byli Polacy, (inż. Majnka oraz inż. Kotarba). Odnaleźli 18 zwłok i jednego górnika, który jeszcze żył. Podług opinii indyjskiego Wyższego Urzędu Górniczego tylko polska technologia wybierania pokładu nie pozwoliła na rozprzes-

łazyli veto oświadczając, że jest szansa ocalenia kopalni poprzez odizolowanie pola pożarowego od innych wyrobisk. Po ośmiu godzinach zaczętej wymiany zdań z ministrem górnictwa Charim, inż. Biesek postawił na swoim. Ale na wykonanie swego pomysłu otrzymał 12 godzin — od 16.00 do 4 rano. Robotnicy miejscowi odmówili zjazdu, ale cały zespół polski (z projektantami włącznie), zjechał i pracując bez chwili odpoczynku zrobił w terminie zapory przeciwpożarowe. Sudamdih nie zatonał.

Był to pierwszy przypadek w historii górnictwa indyjskiego zduszenia pożaru bez wody. Bez precedensu był również fakt, że wydobycie kontynuowano później przy czynnym polu pożarowym. Teraz jest już ono martwe (nie ma tlenu ani dwutlenku węgla, prawie wcale tlenku i tylko 60 proc. metanu) i być może będzie otwarte. I znowu: akcja taka nie byłaby możliwa, gdyby kopalnia miała inny, niepolski model.

„To było wspaniałe, fantastyczne, niesłychane — nie szczędzi superlatywów dyr. Chowdhary. — Mamy takie powiedzenie w Indiach: »Wyrwać człowieka z paszczy tygrysa« i wyczyn Polaków, którzy uratowali Sudamdih od niechybnej — zdawałoby się — zguby, to było właśnie to”.

Milczenie...

Inż. Biesek pokazał mi list, jaki z datą 9 kwietnia 1977 roku wystosował doń dyr. Chowdhary. Przytaczam go (z niewielkimi skrótami), gdyż dokument ten znany jest tylko nielicznej grupie osób.



Piasek podsadzkowy dla kopalni w Sudamdihu wydobywany jest z rzeki unikatową metodą hydrologiczną

trzenie się wybuchu, ponieważ zatamowały go zapory pyłowe i nie było obwałów. Przy każdym innym modelu nastąpiłoby zawalenie i — co za tym idzie — zamknięcie kopalni.

Po dwu miesiącach minął szok i wznowiono normalne wydobycie. Ale w niedzielę 13 marca 1977 roku o sto metrów wyżej, na poziomie 300, wybuchł pożar. Bardzo prędko szyby w pełnym przekroju zaczęły snuć czarne chmury. W powietrzu było już 3 proc. metanu i gdyby procent ten wzrósł do pięciu, groziłoby to eksplozją. Postanowiono zatem zalać kopalnię wodą przepompowaną z rzeki Damodar. Była to decyzja bolesna. Miała zginąć najbardziej prestiżowa kopalnia Indii, gdyż jej ponowne uruchomienie było praktycznie mało prawdopodobne, teoretycznie zaś wymagałoby kilku lat. Natomiast wszystkie urządzenia uległyby bezpowrotnemu zniszczeniu, co oznaczało stratę — lekko licząc — stu milionów rupii.

Wtedy właśnie Polacy z inżynierami Bieskim i Kotarbą na czele za-

„Szanowny panie Biesek — pisał menedżer — nie mam dość słów, by wyrazić podziękowanie za nadzwyczajne dzieło dokonane pod pańskim kierownictwem dla ocalenia kopalni (...). To dzięki pańskiej inteligencji i nieustannej zachęcie w tych najtrudniejszych dniach — kopalnia została uratowana. Pan i członkowie polskiego zespołu zasługują na naszą wdzięczność i uznanie”.

Inż. Biesek i ludzie, którzy z nim pracowali i pracują, mają więc rzetelny powód do dumy, chociaż się z nią nie obnoszą. Jednak najgłębsza nawet satysfakcja osobista zostawia gorzki osad, gdy przechodzi niedostrzeżona. Trochę to dziwne, że nikt, ani w Indiach, ani przynajmniej w Polsce nie ocenił należycie z jak szlachetnego kruszca była nasza zasługa dla Sudamdihu i jak wielostronne wynikają z niej korzyści.

Tymczasem, poza cytowanym wyżej listem, znikąd nie nadeszły słowa nawet choćby najbardziej zdawkowych gratulacji. Nic poza milczeniem...

JANUSZ MOSZCZEŃSKI

KORESPONDENCJA WŁASNA
„PANORAMY” Z BONN

PRZEDAWNNIENIE ?

Ogólnie rzecz biorąc, powołują się tu nad Renem na — swaście pojęty — humanitaryzm w stosunku do starszych wiekiem i niejednokrotnie chorych ówczesnych zbrodniarzy hitlerowskich. Ale te argumenty tracą znaczenie, kiedy się weźmie pod uwagę, że za zbrodnie hitlerowskie skazanych zostało dotychczas w RFN tylko niespełna 6,5 tys. osób spośród ponad 82 tys. podejrzanych; że — jak dotąd — postępowaniem karnym objęto jedynie zbrodniarzy niższego szczebla, a nie ich rozkazodawców, że spośród skazanych odsiaduje karę w więzieniach jedynie 57 zbrodniarzy, a od 1970 r. ułaskawiono 36; że proces 14 oprawców z obozu koncentracyjnego na Majdanku staje się jednym wielkim skandalem prawniczym.

Panuje tutaj daleko posunięta niewiedza dotycząca rozmiarów ludobójstwa hitlerowskiego. Jest to, mówiąc dobitniej, niewiedza, za którą można ukryć poczucie własnej winy.

Nasuwa się też spostrzeżenie: w obecnej dyskusji wokół dalszego ścigania zbrodni hitlerowskich, bądź jego zaprzestania, uwzględniany jest w pierwszym rzędzie właściwie jeden aspekt sprawy, a mianowicie: co powie na to zagranica. Odnosi się niezbitę, nieodparte wrażenie, że nie z myślą o własnym społeczeństwie i własnej młodzieży (często ochoczo zreszlą uczęszczającej na filmy przypominające „wielkość Hitlera” i kupującej płyty z jego przemówieniami) toczy się dyskusja wokół przedawnienia zbrodni hitlerowskich.

Manewr polityczny jest dość przejrzysty. Bo przecież żadna z czterech głównych partii politycznych, gdyby przyszło jej w Bundestagu głosować nad ustawą uchylającą przedawnienie, nie będzie ryzykowała utraty potencjału wyborczego. Nasuwa się pytanie dotyczące wiarygodności chętnie i często tu głoszonych deklaracji o tym, że Republika Federalna Niemiec to tzw. „Rechtsstaat” czyli państwo prawa i porządku.

FAKTY

Znamiennym i godnym odnotowania głosem jest interesujący artykuł na temat przedawnienia zbrodni hitlerowskich, który ukazał się na łamach socjaldemokratycznego tygodnika „Vorwärts”. Jego autor, deputowany SPD W. Penner napisał:

„Ustawa o amnestii oznaczałaby, że bezprawie przemienia się w prawo, iż tyrania bezprawia odnosi spóźnione zwycięstwo. Uderzałoby to do głębi w nasze dzisiejsze rozumienie prawa, świadczyłoby o naszej bucie, w poczuciu której nie obchodzi nas prawo”.

Debata parlamentarna na temat przedawnienia najcięższych zbrodni hitlerowskich zakończyła się w Bundestagu 8 maja 1969 roku przedłużeniem tego terminu o 10 lat. RFN nie przystąpiła do konwencji Organizacji Narodów Zjednoczonych o nieprzedawnieniu zbrodni wojennych i zbrodni przeciwko ludzkości z dnia 26 listopada 1968 roku. Tym samym RFN nie stosuje się do postanowień tej konwencji, traktując zbrodnie hitlerowskie jako przestępstwa pasywne. A ponieważ w RFN zniesiono karę śmierci — najwyższym wyrokiem jest dożywocie.

W całej historii Bundestagu po 1949 roku jedynie dwóch mówców apelowało o nieprzedaw-

nie należy się ludzi: w Bundestagu nie ma siły politycznej, która zdecydowanie przeciwstawiałaby się przedawnieniu zbrodni popełnionych przez hitlerowców w czasie wojny i okupacji.

Wiemy: w krajach Europy, okupowanych przez hitlerowską III Rzeszę, straciło życie w ciągu 6 lat 30 milionów ludzi. Ponad sześć milionów spośród nich to Polacy. Pamiętając o tych milionach ofiar społeczeństwo nasze ze szczególną uwagą śledzi rozwój sytuacji w RFN. Czy państwo i prawo bońskie świadomie dopuszczą do przedawnienia z dniem 31 grudnia przyszłego roku zbrodni hitlerowskich?

nienie zbrodni: nieżyjący już poseł SPD A. Arndt oraz obecny przewodniczący Federalnego Trybunatu Konstytucyjnego E. Benda (CDU).

Pod naciskiem światowej, w tym również polskiej opinii publicznej, ściganie w RFN najcięższych hitlerowskich przestępstw przedłużono o 10 lat uchwałą Bundestagu, która zapadła 280 głosami przeciwko 127. W roku 1958 utworzona została w RFN tzw. centrala do spraw badania zbrodni nazistowskich z siedzibą w Ludwigsburgu. Ze statystyki tej centrali wynika, że zachodniemieckie organa sądowe wszczęły ogółem śledztwo przeciwko 82.687 osobom. W 6455 przypadkach zapadły prawomocne wyroki. 12 osób skazanych zostało na śmierć (jeszcze przed zniesieniem tej kary w RFN), 151

osób na dożywocie, 6147 na karę pozbawienia wolności, 114 ukarano grzywną pieniężną. Warto przy tym zaznaczyć, że wyroki skazujące zapadły głównie w pierwszym okresie po wojnie, i że o ile przed laty przeciętny okres trwania śledztwa i przygotowywania procesu wynosił 5 lat, to obecnie sięga on 10—12 lat!

W 71.504 przypadkach postępowanie zamknięto bez wyroku skazującego.

Na przełomie roku 1977/78 toczyło się w RFN postępowanie sądowe w stosunku do 4688 osób.

Czy na tym miałyby być zakończona sprawa? Jakie stanowisko zajmują w tej kwestii odpowiedzialni politycy, partie koalicji i opozycji, jakie rząd Republiki Federalnej Niemiec?

Przedłużający się proces 14 zbrodniarzy z Majdanka zakrawa na prawniczy skandal.

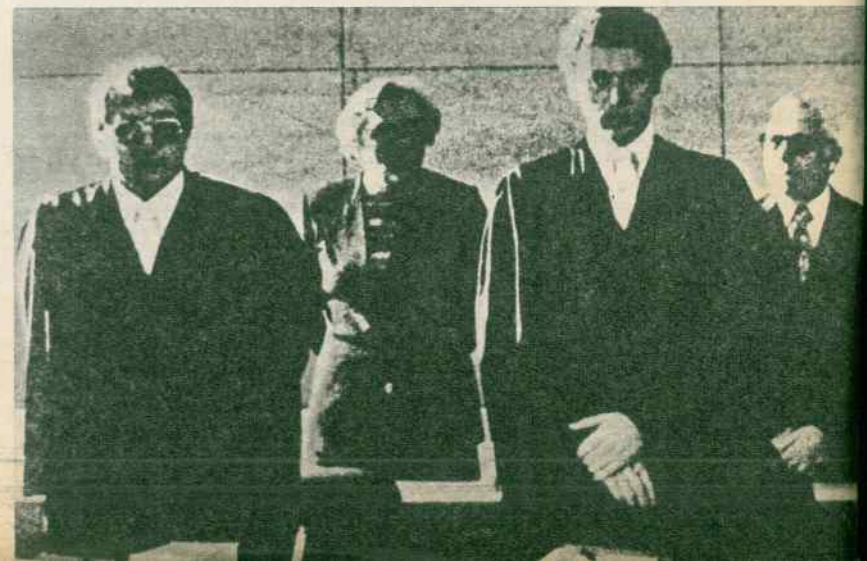
Na zdjęciu: strażniczka z Majdanka Hildegarda Laechert na sali rozpraw



Johanne Zelle i Wilhelm Westerheide przed sądem w Bielefelde (RFN).

Oskarżeni są o uczestnictwo w wymordowaniu ok. 7 tys. ludzi we Włodzimierzu Wołyńskim. Zelle wyróżniła się szczególnym okrucieństwem — rozbijała dzieciom głowy o ścianę, wyrzuciła dwoje żydowskich dzieci przez okno ze szpitala

Zdjęcia: ARC



Związek Antyfaszystów i prześladowanych przez reżim nazistowski (VVN) domaga się przystąpienia RFN do konwencji ONZ o nieprzedawnianiu zbrodni wojennych i zbrodni przeciwko ludzkości i wystąpił w tej sprawie z apelem do kanclerza RFN.

Zaś tutejsza prasa używa nazwy „nieprzejednani” — dla określenia ludzi, którzy uważają, że dla zbrodni hitlerowskich nie może być przedawnienia.

AMNESTIA?

Amnestia generalna: pojęcie to używane jest w RFN w znaczeniu o wiele szerszym, wychodzącym poza utaskawienie przestępstw wojennych i przestępstw przeciwko ludzkości. I w tym właśnie tkwi niebezpieczeństwo wprowadzenia dyskusji o nieprzedawnieniu zbrodni hitlerowskich na całkiem innej tory.

Pierwszy użył takiego sformułowania w stosunku do zbrodniarzy hitlerowskich znany historyk zachodniemiecki prof. Golo Mann, żądając tzw. amnestii generalnej dla przestępców hitlerowskich, nie precyzując jednakże czy chodzi o ludzi odbywających obecnie kary, a więc m.in. więźnia Spandau — Rudolfa Hessa, którego wypuszczenia od dawna domaga się Republika Federalna Niemiec, czy też o zaprzestanie ścigania zbrodniarzy przebywających dotąd na wolności.

W myśl koncepcji Manna wyjęte spod amnestii miały być morderstwa popełnione na Żydach, morderstwa w obozach koncentracyjnych oraz ludobójstwa. Z miejsca poparł go przewodniczący bawarskiej CSU, Franz Joseph Strauss.

Myśl o amnestii generalnej w odniesieniu do zbrodniarzy hitlerowskich zrodziła się w pewnych kołach RFN po ujawnieniu skandalicznej afery wokół przeszłości Hansa Filbingera (CDU), do niedawna premiera rządu Badenii-Wirtembergii, który jako sędzia hitlerowskiej marynarki wojennej ferował okrutne wyroki do ostatniej chwili wojny. A nawet po wojnie.

W koncepcji „amnestii generalnej” nie chodzi więc tylko o przedawnienie zbrodni hitlerowskich, ale również o usprawiedliwienie całej generacji niemieckiej, która współuczestniczyła w realizacji zbrodniczych planów Hitlera panowania nad światem, o zrzućcenie z nich moralnej odpowiedzialności za cały ogrom zbrodni dokonanych w imieniu narodu niemieckiego.

W analizie przeprowadzonej na łamach tygodnika „Vorwärts” wspomniany deputowany z ramienia SPD Penner skonstatował między innymi:

„Ci, którzy żądają amnestii generalnej, zakładają, że kurtyna milczenia pokryje te czyny, których poszczególne osoby dopuszczały się w czasach faszyzmu. Oznacza to jednak, że wszyscy obywatele tego państwa, którzy w czasie dyktatury byli dorosłymi ludźmi są w jednakowym stopniu winni lub też niewinni przestępstw, jakich dopuścili się jednostki. Do tej pory wszyscy uchodzili za winnych, teraz według tej nowej hipotezy wszyscy mają być z kolei wolni od skazy”.

GŁOSY ZNAD RENU

Wypowiadając się w cytowanym artykule przeciwko amnestii generalnej socjaldemokratyczny deputowany nie ma, niestety, zbyt wielu sojuszników wśród polityków i publicystów nadreńskich. Zarówno bowiem CSU jak CDU (z wyjątkiem byłego przewodniczącego tej partii Reinera Barzela) a także już jak najbardziej oficjalnie frakcja parlamentarna CDU/CSU opowiedziały się przeciwko nieprzedawnianiu zbrodni hitlerowskich.

Socjaldemokracja znalazła się w najtrudniejszej sytuacji, ponieważ za jej rządów musi nastąpić debata parlamentarna, której wynik będzie miał niemały wpływ na nastroje i decyzje wyborcze w 1980 roku.

Warto w tym miejscu przytoczyć fragment wypowiedzi przewodniczącego SPD Willy Brandta opublikowanej w tygodniku „Der Spiegel” w sierpniu br.:

„Jeszcze przez całe pokolenia nie będzie można przewyżnić epoki hitlerowskiej. Ale też nie powinniśmy sami za bardzo litować się nad sobą. Muszę bowiem uczciwie powiedzieć, że w latach pięćdziesiątych dziwiłem się, kiedy tak szybko podano nam rękę do współpracy po tym wszystkim co się wydarzyło”.

Namibia walczy o wolność

Nazwa Namibii — terytorium bezprawnie okupowanego przez wojska RPA — od wielu już lat przewija się przez środki masowego przekazu na całym świecie. I nie bez powodu: koleje walki o przyznanie temu krajowi prawa do samostanowienia stanowią niechlubną ilustrację metod, jakich chwytą się rasistowski rząd RPA w swych staraniach opóźnienia nieuchronnego procesu likwidacji kolonializmu w Afryce.

Namibia, zwana w starszych podręcznikach geografii Afryką Południowo-Zachodnią, jest krajem słabo zaludnionym: na 824 tys. km kw. jej powierzchni przypada tylko ok. 900 tys. mieszkańców, z których jedynie 12 proc. stanowią biali. Po I wojnie światowej RPA otrzymała od Ligi Narodów mandat do administrowania tą byłą posiadłością kolonialną cesarskich Niemiec. Mandat ten został po II wojnie światowej przedłużony przez ONZ, z tym jednak, iż RPA podjęła się przygotowania mieszkańców Namibii do otrzymania niepodległości. Już jednak w latach pięćdziesiątych, gdy w RPA wzięły górę siły rasistowskie, okazało się, że Pretoria nie myśli o spełnieniu swego zobowiązania.

Sprawy to bogactwa naturalne Namibii. W tym słabo rozwiniętym, rolniczo-hodowlanym kraju występują bogate złoża wielu minerałów: rudy miedzi, cynku, ołowiu, cyny, kadmu, wanału i uranu. Nie do pogardzenia dla RPA i jej przedsiębiorstw górniczych okazały się namibijskie kopalnie diamentów, z których co roku wydobywa się ok. 1500 tys. karatów tych drogich kamieni.

Przez pewien okres rządowi w Pretorii udawało się wykorzystywać rozczłonkowanie plemienne ludności murzyńskiej Namibii, czego przejawem stało się utworzenie 10 tzw. bantustanów — pseudopaństw, wyposażonych w imaginowaną autonomię. (W rzeczywistości cała władza wykonawcza i ustawodawcza w Namibii kontrolowana jest przez RPA).

Sytuacja zmieniła się wraz z rozpoczęciem działalności przez SWAPO — Organizację Ludności Afryki Południowo-Zachodniej (South-West Africa People's Organisation). Ta główna partia polityczna ludności afrykańskiej, uznana przez ONZ za jedynego przedstawiciela ludności Namibii, prowadzi od lat walkę o niepodległość



Przywódca SWAPO — Sam Nujoma

Zdjęcie: ARC

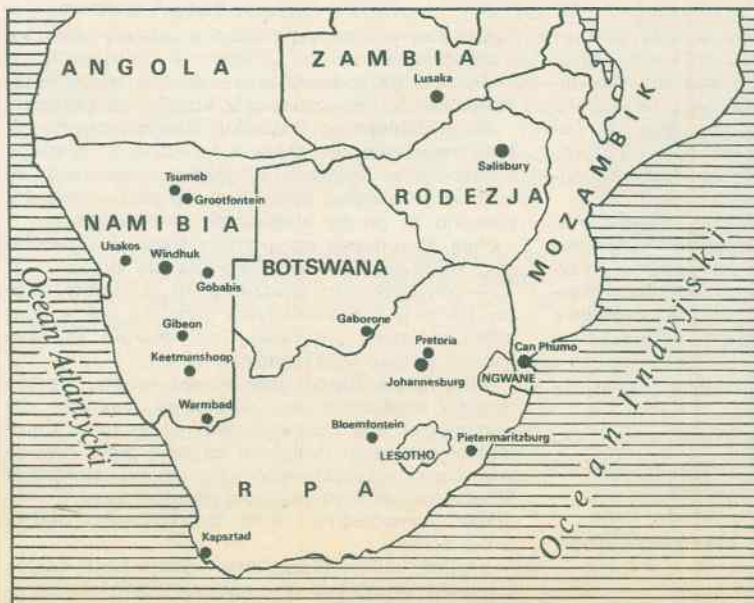
swego kraju, stosując w niej wszelkie dostępne środki od protestów i strajków poczynając a na działaniach zbrojnych kończąc.

Wielkie procesy dekolonizacyjne w Czarnej Afryce, a przede wszystkim upadek kolonii portugalskich, zmusiły rząd RPA do ustępstw. Na tzw. konferencji konstytucyjnej w Windhuk (stolicy Namibii) RPA zapowiedziała przyznanie Namibii niepodległości z dniem 31 grudnia 1978 r. Według planów Pretorii ma to być jednak niepodległość pozorna, gwarantująca RPA utrzymanie swych wpływów politycznych i gospodarczych. Jednym słowem — „niepodległość” według klasycznych założeń neokolonialnych.

Przywódca SWAPO, Sam Nujoma, plan Pretorii kategorycznie odrzucił oświadczyjąc krótko: „Nie mamy zamiaru popieścić politycznego samobójstwa”. Samobójstwem takim — jak tego uczy jedno doświadczenie — byłoby wyrażenie zgody na obecność wojsk RPA w okresie wyborów, które miałyby poprzedzić symboliczną niepodległość.

Warunki RPA zostały odrzucone również przez Specjalną Sesję Zgromadzenia Ogólnego ONZ, jaka odbyła się wiosną br. za sprawą państw afrykańskich i krajów socjalistycznych, udzielających SWAPO i walce ludu Namibii swego pełnego poparcia. Od tego czasu utnęły długie miesiące, podczas których rząd RPA — nie bez poparcia określonych kół na Zachodzie — nie uczynił właściwie niczego, co można by uznać za rzeczywiste ustępstwo i dostosowanie się do rezolucji Zgromadzenia Ogólnego. Wszystko więc wskazuje, że droga ludu Namibii do niepodległości najeżona będzie nadal wieloma przeszkodami. Jednakże jej cel jest dziś na pewno bliższy...

KAZIMIERZ BAŁUCHOWSKI



WIESŁAW WILCZEK

Niwka jest starą, proletariacką dzielnicą Sosnowca. Tutaj, przy ulicy Tuwima stoi ponad stuletni dom.

Mieszkańcy tego domu mówią, że jest najdłuższy w Sosnowcu.

Choć tak długi, coraz bardziej zapada się w ziemię. Kiedyś były to ponoć stajnie rosyjskiej kawalerii, nad którymi mieszkali żołnierze obsługi. Potem osiedliły się tu robotnicze rodziny. Kilka sieni.

Mieszkania dwu i trzyizbowe.

Dom dożywa swoich dni.

Niedługo zostanie rozebrany.

Znikną także komórki tak typowe dla starych robotniczych dzielnic...

Od wielu lat mieszka tutaj rodzina Staroniów. Niedawno 27-letni Marek Staroń w szufladach porzuconych w piwnicy szafek znalazł dwa pudełka szklanych klisz fotograficznych, które stały się początkiem tego reportażu...



Ludzie jak krety



Matka Marka — Stanisława, wyszła za mąż za Władysława Staronia w 1931 roku. Władysław miał złote ręce do ślusarki i kowalstwa. Trudno mu było spożytkować te talenty. Najczęściej był bez pracy. W tym czasie w Zagłębiu Dąbrowskim bezrobotni stanowili 15,6 procent ogółu ludności, a 23,1 procent ludności najmniejszej.

Władysław niby to pracował w fabryce maszyn w Niwce. Nie należał do ujętych statystyk bezrobotnych. Pracował 10 dni w miesiącu. Reszta to „świętówki”. Zdrowy, chętny do pracy mężczyzna przynosił do domu 40 zł. Za wynajęcie izby Staroniowie płacili wtedy 15 zł. Na utrzymanie zostawało 25.

— Co jedliście? — pytam po latach wdowę po Władysławie Staroniu.

— Zupę kartoflaną, barszcz, czarną kawę zbożową i chleb z topioną słoniną. Raz na tydzień kupowałam ćwierć kilograma wołowiny.

— Nie gadaj, żywność była wtedy tania — wtrąca się do rozmowy kuzyn Stanisławy, 76-letni Ignacy Duś.

— Tania, ale za co miałam kupić? — odpowiada pani Stanisława, która dobrze pamięta

tamte czasy. Gdy zapytałam o odzież, tylko się uśmiechnęła.

Zaczęła się rodzinna sprzeczka. Ile wtedy kosztował chleb, ile wołowina z kością, ile słonina? Sprawdziłam w Roczniku Statystycznym. W tym mniej więcej czasie 1 kg chleba żytniego kosztował w Zagłębiu 30 groszy, mięso wołowe 1 zł 50 gr, słonina blisko 1 zł 70 gr. Za litr naty płacono 35 gr, za 1 kg mydła 1 zł 50 gr.

Pani Staroniowa przypomina sobie duży wydatek, kiedy w 1936 roku urodziła się Basia.

— Wydałam na akuşerkę 10 zł. Takim, którzy jak mąż pracowali tylko przez 10 dni w miesiącu, należała się Kasa Chorych, ale za akuşerkę trzeba było płacić!

Władysław Staroń palił się do roboty. Oprócz niedziel zostawało mu piętnaście wolnych dni w miesiącu. Jak zapewnić utrzymanie żonie i małej córce? Próbował za byle grosz najmować się do różnych robót. Na nic nie starczało! Młode małżeństwo opuściło rodzinę żony i mieszkało samodzielnie. Była to zwyczajna nędza, a nie życie.

I wtedy kuzyn Stanisławy, Ignacy Duś, zaproponował Władkowi aby poszedł robić na biedaszyby...

* * *

W numerze 27 „Expresu Zagłębia” z 1935 roku można przeczytać następujący opis:

„Znajdujemy się na terenach należących do jednej z kopalń zagłębiowskich. Oczom naszym przedstawia się dziwny widok. Duży szmat ziemi tak zrytej i podziurawionej jak pobojowisko z czasów wielkiej wojny po kanonadzie artylerii. Niektóre dziury i wyrwy są widać niedawno zrobione, bo czernią się spod tat brudnego śniegu”.

Do tego reporterskiego opisu dodaje Jan Ziemia, autor publikacji „Biedaszyby Górnego Śląska i Zagłębia Dąbrowskiego”:

„Obraz ten nie jest kompletny. Trzeba by go uzupełnić takimi elementami, jak sterczące co kilkanaście kroków kikuty „sztorcyn”, pochylone nad korbami wafków szare postacie szybkarzy, zalegające tu i ówdzie stopy węgla i czekające obok



konne turmanki. Cały krajobraz biedaszybów był wreszcie zasnuty dymami płonących przy każdym szybiku ognisk. Jeszcze większe wrażenie sprawiało to nocą — a noc była tutaj najczęściej czasem pracy — gdy czerń mroku i żar ogni stwarzały wrażenie wielkiego, bezładnego biwaku. Gwar głosów był wówczas nikły, gdyż zmęczenie nie sprzyjało rozmowom; dominującą melodię stanowił skrzyp wałków, trących osiami o drewniane łożyska. Ten skrzyp — wspominają starzy szybkarze — słychać było daleko w ciche, spokojne noce.

Spółeczeństwo szybkarzy składało się w ogromnej większości z mężczyzn. Kobiety i młodych dziewcząt sporo pracowało na powierzchni, przy kołowrocie. Starsze pomagały czasem, ale rzadko, na dole, najczęściej wtedy, gdy szybik miał załogę rodzinną.

Dziewczęta „miały wstyd” zjeżdżać na dół; to powszechnie uznano. Natomiast tam, gdzie było liczniejsze skupisko biedaszybów, towarzyszyła im niemal zawsze spora gromadka dzieci. Chłopcy od 13—14 lat, a nawet młodsi, pracowali już często jako ciągnące skrzynki pod ziemią. Młodzi szperali po całym terenie, zbierając odpadkowy węgiel. Służyły im do tego stare wiadra albo uszyte ze starego worka torby przewieszane przez ramię. Poza tym spełniali różne drobne, a czasem nawet dość ciężkie, posługi”. (Str. 41, 42)

* * *

Jednym z górników-szybkarzy, był właśnie Ignacy Duś.

Duś, od lat na emeryturze, mieszka w małym domku w Niwce-Borze. Po wojnie nie był już górnikiem.

W tamtym dwudziestolecu jego kariera zawodowa była przepełniona: praca, bezrobocie, praca i znowu bezrobocie.

W r. 1919 trochę popracował w kopalni, no i wzięli go do wojska. Wrócił do cywila i od redukcji do redukcji pracował na „Klimontowie”, potem na „Juliuszu”. Tu go już zredukowali na stałe. Ale że był już po dłuższym okresie pracy, to nawet przez 13 tygodni brał po 11 zł zasiłku dla bezrobotnych.

Nie miał rodziny, ale i samotny żyć z czegoś musi.

— No to wziętem się za biedaszybiki i do pracy wciągnąłem Władka — powie po czterdziestu paru z hakiem latach.

Dziwna to była historia z tym nielegalnym — jak wówczas oficjalnie mówiono — górnictwem. Niby nie wolno było samowolnie wydobywać węgla, ale np. gminne lub miejskie władze patrzyły na ten proceder dość neutralnie. Szybiki zmniejszały trochę nędzę bezrobotnych, których lokalna administracja miała na głowie. Dość liberalne były sądy, ferujące wyroki w zawieszaniu za chałupnicze wydobywanie węgla. Bezwzględnie jednak postępowała policja.

Wielkie towarzystwa górnicze likwidowały kopalnie ogłaszając, że nie ma zbytu na polski węgiel, że rynek wewnętrzny jest mało chłonny. Tymczasem po lańszy, wydobywany przez bezrobotnych węgiel, furmani przyjeżdżali z Olkusza, spod Częstochowy, Krakowa, Bielska. Ba, nielegalny węgiel wysyłano nawet transportem kolejowym.

Duś był młody, gdy utworzył zespół biedaszybowy. Przypomina sobie, że pracował na pięciu szybikach. Ten pierwszy był w ogóle nieudany. Wybili go na 15 m i węgla nie było. Musieli zrezygnować. W ten drugi zespół zainwestował pożyczone pieniądze: 650 zł. Dziś Duś nie pamięta już wszystkich współników. Wymienia nazwiska Sagana i Dworaka, którzy z nim pracowali.

Biedaszyb był małym przedsiębiorstwem. Trzeba było kupić drewno na obudowę, a u pracujących w kopalni górników — materiał wybuchowy.

— Za 1 kg, tzn. za 5 takich „cykori”, kółko lontu, 10 splonek płaciło się górnikowi 5 złotych.

Ten ostatni największy szyb Duś i jego koledzy bili przez 2 miesiące, po 12 godzin na dobę. Miał głębokość 50 m. Ten był najlepszy. Duś pamięta, że po odliczeniu kosztów własnych dniówka wychodziła mu 1 zł 80 groszy.

Pani Staroniowa, która mężowi nosiła obiady na biedaszyby, pamięta, jak tam ludzie strasznie ciężko pracowali. Żadna mechanizacja, wszystko rękami. Jej mąż Władysław znalazł się też na górnictwie. Zanim przyjęli go do fabryki maszyn w Niwce, pracował w kopalni „Modrzejów”.

— Na szybikach to on okuwał kołowroty, wykonywał różne kowalskie i ślusarskie roboty. Ale pracował i na dole — aby tylko zarobić tych kilka złotych.

* * *

Do dziś, wśród żyjących starych ludzi w Zagłębiu i na Śląsku pamięta się tamte czasy. Iluż to uduśiło się gazami, żywcem spaliło. Iluż zginęło od zawałów w tych małych, prymitywnych kopalniach. Zdarzało się, że kopalnia, na której terenie bezrobotni wydobywali węgiel, wysyłała pod eskortą policji specjalne grupy, które burzyły (jak mówiono wówczas: „strzelały”) szybiki. Często na dole ginęli ludzie, broniący swego warsztatu najcięższej pracy.

Jan Ziemia we wspomnianej publikacji podaje, że np. w Zagłębiu tylko w 1935 roku zdarzyło się w biedaszybach 41 wypadków, w tym 22 śmiertelne.

„Np. w grudniu 1934 roku zginął Julian Kościelniak, właściciel szybiku pod Sosnowcem. Gdy zjawiała się ekipa kopalniana niszcząca biedaszyby, Kościelniak odmówił wyjścia z szybu i przez wiele godzin pozostał pod ziemią. Zmarł tam zatruty gazem, nie mając już siły, aby wołać o pomoc”.

I pani Staroniowa i Ignacy Duś pamiętają miejsca, w których ginęli w szybikach ludzie. Dziś stoją tam często nowe działnice, a ich mieszkańcy nie wiedzą, że nie tak dawno, aby zarobić

na chleb — ludzie ryli w tych miejscach ziemię, jak krety, bili się z policją i ekipami kopalnianymi, zostawali kalekami i umierali. Walka właścicieli kopalni i policji z biedaszybikarzami stała się z każdym rokiem coraz bardziej bezwzględna. Na przykład w Zagłębiu Dąbrowskim od 1 stycznia 1932 roku do 15 sierpnia 1933 roku policja zniszczyła w powiecie będzińskim 4959 szybików. Na Śląsku w czerwcu 1935 roku zniszczono 97 szybików, w sierpniu 98, we wrześniu 80.

Górnicy bronili się! Duś przypomina sobie o wielkiej bijatyce między biedaszybikarzami a policją, do jakiej doszło właśnie w Niwce. Szczególną niechęcią otoczeni byli ludzie z kopalnianych ekip burzących szybiki.

— Pamiętam S... — mówi pani Staroniowa. — Był bardzo gorliwy w strzelaniu szybików. Sypiał wtedy nawet na kopalni, bo bał się, że jak zostanie w domu, to go pobiją. On nie żyje, ale już za Polski Ludowej niejedną przypominał mu, jakim był wiernym sługą kapitalistów.

Mimo ciągłej walki, życie biedaszybików trwało aż do wybuchu wojny. Powstawały nawet szybiki większe, których właściciele osiągnęli dochody równe zyskom ze średniego przedsiębiorstwa. Wyrastali pośrednicy trudniący się sprzedażą taniego węgla z szybików. Ba, organizowały się nawet bandy robusiów, kradnących wydobyty z takim trudem przez biedaków węgiel.

Wśród biedaszybikarzy działali komuniści, a Komitet Okręgowy Komunistycznej Partii Polski w Dąbrowie Górniczej zaproponował w 1934 roku utworzenie osobnego Związku Biedaszybikarzy, który broniłby ich przed policją i zapewnił wolność sprzedaży węgla z szybików, coraz częściej konfiskowanego przez policję.

Za Janem Ziembą przytoczę fragment sprawozdania Komitetu Okręgowego KPP z lutego 1936 roku:

„W Zagłębiu rozwija się ładna robota wśród biedaszybikarzy. Biedaszybikarze, zwłaszcza byłych kopalni „Klimontów” i „Mortimer” są zorganizowani, istnieją lokalne komitety oraz dzielnicowy komitet biedaszybikarzy. Przy tym nowe jest to, że powstała sekcja szybkarzy przy Centralnym Związku Górników, sekcja liczy 100 członków”.

* * *

W mieszkaniu państwa Staroniów oglądamy odnalezione przez Marka klisze. Pozostały po jego zmarłym ojcu, który głodny los bezrobotnego usiłował złagodzić pracą w małych kopalniach. Kto robił te zdjęcia? Nie bardzo wiadomo. Może sam Władysław Staroń, którego nie ma na żadnym z nich?

Przy pomocy Ignacego Dusia próbujemy zidentyfikować niektórych ludzi na zdjęciach. Czy prawdziwo? Nie wiadomo! A może niektórzy rozpoznają siebie, znajomych albo bliskich i napiszą do redakcji, przypominając przy okazji tamte lata?



— Chyba tutaj nosiłam obiady mężowi — upewnia się u Ignacego Dusia Stanisława Staroń

Zdjęcie: Stefania Ciesielska



Tekst: BARBARA KORZON ● Zdjęcie: ANTONI LABRYGA

ANNA i jej rodzina



ina

Na naszym zdjęciu – GÓRNICY ODDZIAŁU G-VI KOPALNI „ANNA” w Wodzisławiu-Pszowie (Rybnicki Okręg Węglowy), ich żony i dzieci. W tym roku załoga kopalni osiągnęła dobre wyniki produkcyjne: średnio 8985 ton węgla na dobę, z czego 6440 ton to najwyższej jakości węgiel koksowo-gazowy. 62 tysiące ton węgla wsadowego ponad plan, które górnicy „Anny” wydobyli do końca października, liczą się w ogólnokrajowym bilansie energetycznym.

Bohaterowie naszego zdjęcia – ludzie z Oddziału G-VI (trzy zmiany wydobywcze i jedna naprawcza) mają w tym osiągnięciu swój osobisty udział. Przodują i pod względem wydajności pracy (12 862 kg na robotniczą dniówkę), i wielkości wydobycia, i przekroczenia normy. Dwukrotnie pod rząd zdobyli pierwsze miejsce w kopalnianym współzawodnictwie, w skali zaś całego Rybnickiego Zjednoczenia Przemysłu Węglowego – czwarte miejsce w bieżącym półroczu.

CIĄG DALSZY NA STR. 22

ANNA

i jej rodzina

DOKOŃCZENIE ZE STR. 21

To są fakty, które dają im poczucie własnej wartości, które w ich górniczej, pracowniczej społeczności liczą się najbardziej. Lecz zapytani o to, co znaczy „dobra praca” — milkną. Trudno mówić o czymś, co jest oczywiste i znane jak własne ręce, co się przejęło od ojca, nawet nie wiadomo kiedy i jak. Wśród czego się rości.

— Powiem, że najważniejsza jest dyscyplina i nie powiem nic nowego — odzywa się przodowy Lucjan Cichy, I sekretarz OOP. Żadnych specjalnych sposobów na to nie mamy. Jest między ludźmi zaufanie, zrozumienie. Nic więcej.

Benedykt Sobala 25 lat przepracował w „Annie”. Tu zezarzał się jego ojciec, który uczył się węgla jeszcze w biedaszybach, tu do górniczej kariery (w oddziale przygotowawczym) wystartował niedawno jego syn. Przy kolacji u Sobalów toczą się często takie rozmowy: „no tato, ścianę ci wyszykowałem na medal! — To się jeszcze zobaczy czy cię pochwalę”. Stosunki Benedykta Sobala z 29-letnim sztygarem oddziałowym Jerzym Tytką układają się na zasadzie: „Jak go sobie wychowałem, tak go teraz mam!” Jerzy Tytko jako absolwent rybnickiego technikum górniczego był praktykantem u Sobala. Teraz jest jego szefem. — I dobrze! Tak być powinno! Na mundurze pana Benedykta wśród wielu innych orderów błyszczą odznaki im. Janka Kraskiego. Otrzymał ją właśnie za to, że tyłu młodych wychował na ludzi, na górników. To oni są dziś żywym dalszym ciągiem górniczej tradycji, która tu, w „Annie” zaczęła się bez mała 150 lat temu.

W roku 1832 datowane jest pierwsze górnicze nadanie na roli ówczesnych właścicieli tych gruntów, Anny i Wincentego Krzyżaków.

Zatoga „Anny” dokumentowała swą polskość w trzech powstaniach śląskich. W pierwszym zginął bohaterstwo górnik Józef Tytko, wieloletni organizator walk strajkowych, późniejszy dowódca Baonu Powstańczego. Zginął rozstrzelany przez Prusaków. Biało-czerwone szarfy odpięte z wieńca, który towarzysze walki położyli na jego grobie, do dziś przetrwały w kopalnianej Izbie Pamięci.

Ludzie wrośnięci w krajobraz swej ziemi — lesisty, pagórkowaty, pościły okami stawów, krajobraz, w którym kopalniane wieże — znaki nowych czasów — sąsiadują z mnóstwem starych, zasiedziatych bocianich gniazd.

— To co piękne na górze, pod ziemią jest utrapieniem — mówi Arnold Chtapek.

— Dół naszej kopalni — wyjaśnia mgr inż. Jerzy Szyra — to lustrzane odbicie krajobrazu na powierzchni. Takie same połądowania. Uskoki. Trudne warunki geologiczne.

— Są takie ściany, że do nich kombajn nie wejdzie — dodaje Rudolf Kofek. Jest kombajnistą.

Teraz do rozmowy włączają się inni. Nie chcą, żeby powstał fałszywy obraz ich warunków pracy. Są trudne, ale przecież 46 procent całego wydobycia kopalni pochodzi z dwóch w pełni zmechanizowanych ścian. 150-letnia kopalnia nie jest bynajmniej górniczym muzeum. Perspektywy? Otwierają nowe pokłady eksploatacyjne na głębokości 800 metrów, przygotowują się do przejścia na czterobrygadowy system pracy, który na razie budzi trochę wątpliwości.

— Jak każda nowość — mówi Walenty Majwald, kierownik jednej ze zmian wydobywczych. — Przyzwyczajamy się i zaczniemy chwalić.

W gruncie rzeczy górnik będzie miał więcej wolnego i to przez parę dni pod rząd.

Jest zwyczaj w kopalniach, że każda zmiana na swym ostatnim wózku węgla wypisuje ile wynosi jej całodzienny urobek. Tak się dzieje i na Oddziale G-VI w kopalni „Anna”. Dla kolegów z następnej zmiany to doping: zrobić jeszcze więcej. Można nazwać nieformalnym współzawodnictwem tę prawdziwą sztafetę dobrej roboty. Jedni drugich informują o warunkach panujących w przodku — jak się zachowuje górotwór, jak pracują maszyny. Kopalnia to nie zwykły zakład przemysłowy, tu wszystko się zmienia niemal z godziny na godzinę. I nie jest najważniejsze, która brygada w tym dniu urobi więcej: Lucjana Cichego, Walentego Majwolda czy Karola Moskwy. W ostatecznym rachunku i tak wszystko jest wspólne: trudności, zastugi, korzyści.

Rozmawiamy w kawiarni zakładowego domu kultury. Pamiątkowe zdjęcie stało się okazją do towarzyskiego spotkania w niedzielne przedpołudnie w rodzinnym, przyjacielskim gronie. Po sali uwija się górnik, Kazimierz Gardygała z aparatem fotograficznym i fleszem.

— Toż jeszcze pana nie mam, panie inżynierze! O przyjemny wyraz was proszę! — zwraca się do inżyniera Szyry i zdanie to brzmi, jak wyjęte z Marcinka. Ten sam rytm, to samo piękne staropolskie „rzi”, które się tu do dziś zachowało i które sprawia, że żadne łutejsze dziecko nie napisze „pszczoła” przez „rz”.

Rozmawiamy o zainteresowaniach: fotografia — tak, sport — to jasne! Zwłaszcza że jest się czym chwalić — sekcja bokserska, drużyna piłki nożnej, tenisistów, tyżwlarze. Własnymi siłami zbudowali piękną halę sportową (ze starej łaźni) i sztuczne lodowisko, które służy całej dzielnicy. Ale pielęgnuje się i tradycyjne górnicze „koniki”: Rudolf Kofek jest zapalonym wędkarzem, Sobala i Majwald rywalizują w hodowli róż, a sztygar Tytko z pomocą teścia właśnie założył gołębnik i w przyszłości marzą mu się konkursy krajowe, a może i międzynarodowe?

Dorobili się własnych domków. To także część składowa miejscowej tradycji: być na swoim. Kopalnia pomaga. Udziela wysokich kredytów, które po 10 latach nienagannej pracy podlegają umorzeniu. Jest własne osiedle im. Tadeusza Kościuszki w Wodzisławiu-Pszowie, jest drugie w Raciborzu.

Lucjanowi Cichemu, który w wieku 43 lat doczekał się wnuka, dorabianie się (domek, samochód) zajęło lat kilkanaście. Młodszy już po kilku osiąga taki sam standard życiowy. — Prawidłowo — zgadzają się wszyscy. — Kraj jest coraz bogatszy i my też ledujemy lepiej.

Czego pragną dla swojej kopalnianej rodziny, dla swojego G-VI? Żeby do licznych pochwał i dyplomów za wyniki we współzawodnictwie dotychczas odznaki im. Wincentego Pstrołskiego. Pasuje do ich rodzinnego albumu.

Kwiaty zła

DOKOŃCZENIE ZE STR. 11

szajek, gdy poczują, że gałąź, na której siedzą zaczyna trzeszczeć.

Zresztą nawet, gdyby Tajlandia zdołała znacznie zredukować swe makowe łany — to i tak zostaje otwarta kwestia powstrzymania tranzytowego przemytu z Birmy. Topografia granic Złotego Trójkąta jest taka, że niepodobna ich upilnować. W dodatku rząd birmański nie kontroluje tego regionu. Władza należy tam do Kaczinów, Karenów i Szanów, którzy chcą dla siebie odrębnych państw niezależnych od Rangunu. Mają własne, dobrze uzbrojone wojsko finansowane własnie z opiumowej kontrabandy. Potrzebne są im pieniądze na broń, a więc potrzebne jest i opium.

Działają tam także partyzanci z propekińskich partii komunistycznych, uciekinierzy z rozbitej przez rewolucję chińską dywizji Kuomintangu, kręcą się chmary przemysłników spod znaku koszul non iron, zegarków i kamieni szlachetnych, walęsają się awanturnicy, szpiedzy i rozmaite typy spod ciemnej gwiazdy. Wszystko to razem układa się w równanie, które czas dopiero będzie rozwiązywał i to nie wiadomo według jakiego wzoru.

Nigdzie nie widać tego lepiej niż na miejsku, w głębokim interiorze. Będąc w Ang Khang wybrałem się na wieczorny spacer. Poszedł ze mną jeden z pracowników stacji, młody agrotechnik.

— To już Birma — rzekł mój towarzysz wskazując na siodlastą linię wzgórz oddaloną nie więcej niż o strzał z karabinu. — Zaraz za granicą jest wielka rafineria opium. Stamtąd przerzucą się opium, najpierw końmi, a dalej na nizinach ciężarówkami, czym i jak się da. Dawniej, gdy nie było dróg, karawany były trudniejsze do wykrycia i woziły surowe opium. Teraz, od paru lat, zbudowano trochę dróg, więc opium od razu przerabia się na heroinę. Zajmuje mniej miejsca.

— A nie można zrobić zasadzki na przemysłników? Zablokować granicy?

Agrotechnik machnął ręką.

— Chyba, żeby zbudować chiński mur. Tutaj to tylko śmigłowce mogą coś zdziałać, ale też niewiele, bo słychać je z daleka. A gdy noc jest bezksiężycowa sam diabeł nie przeszkodzi szmuglerom. Oni znają tu każdy krzak. A obcy widoczny jest jak pod lupą, bo po obu stronach granicy żyją nie Tajlandczycy i nie Birmanczyzy, ale Szanowie i Karenowie. Część rodziny mieszka tu, część tam. I odwiedzają się kiedy chcą bez paszportów i wiz, nieraz siedzą u siebie miesiącami. Jak im się spodoba to i stania przeszwarują, co dopiero parę worków.

Czy ludzie z Urzędu Kontroli Narkotyków w Bangkoku wiedzą o tym wszystkim? Ależ tak. Wiedzą też o wielu innych małych i dużych sekretach swego pogranicza, o przeszkodach, w świetle których wysiłki ich mogłyby się komuś wydać surrealistyczne. Jednakże kłamka zapadła, wypowiedziano wojnę „łącznikowi tajlandzkiemu”. Za lat dziesięć „kwiaty zła” mają być niemal zupełnie wypłenione — takie są prognozy. Czy się sprawdzą? Nie wiadomo.



Górnik przodowy Oddziału G-VI kopalni „Anna”, sekretarz Oddziałowej Organizacji Partyjnej, Lucjan Cichy: — Osiągnęliśmy najwyższą wydajność w przodku — 20.581 kg na roboczo-dniówkę

Zdjęcie: Antoni Labryga

BARBARA KORZON

JERZY JAROSŁAWSKI

horoskop

GRUDZIEŃ

Nie traktujemy tej rubryki poważnie, lecz tylko ku rozveseleniu i poprawie humoru. Mamy nadzieję, że i Szanowni Czytelnicy z takim nastawieniem będą ją czytać. A jeśli coś się sprawdzi, to tym lepsza będzie nasza wspólna zabawa. Pisuje ten horoskop dla Państwa „znany astrolog-praktyk ze stolicy”, a nie żaden fachowiec od gwiazdnych przepowiedni i wiedzy tajemnej. I ponoć — mimo wszystko — horoskop się sprawdza. Przekonajcie się sami!

BARAN



(ur. 21.III.—20.IV.)

To powinien być dobry miesiąc! Kilka spraw właśnie w tych dniach zakończy się i to bardzo korzystnie. Będziesz mieć w związku z tym wiele osobistej satysfakcji. Nie obejdzie się oczywiście bez nieporozumień, ale w ostatecznym rozrachunku okaże się, że Twoje racje były słuszne i warto było ich bronić. Ale nie daj się ponieść nerwom ani nie działaj pochopnie, zwłaszcza że właśnie teraz możesz się spotkać z jakąś bardzo interesującą propozycją. Znaki sympatyczne — RYBY i WAGA.

BYK



(ur. 21.IV.—21.V.)

Będzie w tym miesiącu kilka okazji do podsumowania własnych spraw, do zastanowienia się, czy wszystko będzie w właściwym torem. Twój nastrój w pierwszej połowie grudnia nie będzie najlepszy, ale trzeba z nim walczyć, bo czeka Cię sporo spraw ważnych i bardzo ważnych — w domu i w pracy. Pod koniec miesiąca zastrzyż pieniądze! Jeśli planujesz w tym okresie wyjazd, licz się z pewnymi trudnościami w podróży. Znaki życzliwe — LEW i WODNIK.

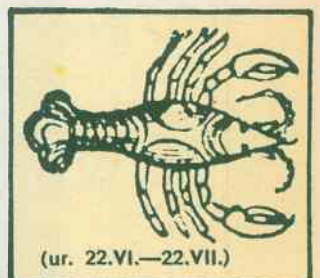
BLIŹNIĘTA



(ur. 22.V.—21.VI.)

Przed Tobą wiele zdarzeń. Dla jednych będą to sprawy zawodowe, dla innych — być może — słowo „tak”, które ważne będzie przez wiele, wiele lat. Miesiąc przyniesie ze sobą kilka dość istotnych zmian w bliskim otoczeniu. Nie będą one dotyczyły Ciebie osobiście, ale zainteresują Cię z całą pewnością. Nie unikniesz też w tych dniach większych niż zwykle wydatków. Przydałoby się robić je z otówkiem w rękę. Pod koniec miesiąca czyjaś pamięć ucieszy Cię a nawet serdecznie wzruszy. Znaki przychylne — STRZELEC i RAK.

RAK



(ur. 22.VI.—22.VII.)

Pracy i zajęć społecznych nie zabraknie Ci w tym miesiącu. Będą to obowiązki wymagające koncentracji i sporego wysiłku. Ale też szybko przyjdą uznanie i słowa pochwały. Jeśli na drugą połowę grudnia planujesz urlop — to możesz liczyć na przyjemne spędzenie czasu. Tylko jedź ostrożnie, zwłaszcza jeśli wybierasz się samochodem! Pod koniec miesiąca — bardzo udane spotkanie w gronie miłych Ci osób. Znaki ważne — KOZIOROŻEC i BLIŹNIĘTA.

LEW



(ur. 23.VII.—22.VIII.)

Dobrze! Przede wszystkim sprawa, nad którą od dłuższego czasu głośniej się nie wiedząc jak ją zatawić — nagle sfinalizuje się sama! Już to jedno sprawi, że miesiąc będzie udany. A czeka Cię jeszcze sporo innych miłych okoliczności, spraw i sytuacji. Będzie niejedna okazja do przekonania się raz jeszcze, że cieszysz się sympatią i uznaniem. Pod koniec miesiąca nowe sprawy zaprzątną Ci głowę i zajmą czas. Ale i one okażą się w ostatecznym rachunku korzystne. Znaki dobre — SKORPION i BYK.

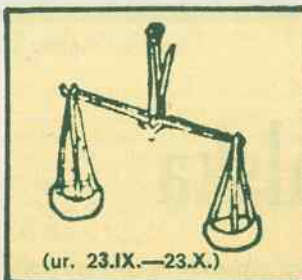
PANNA



(ur. 23.VIII.—22.IX.)

Ważnych zajęć zawodowych. Ich największe nasilenie przypadnie na pierwszą połowę grudnia. Potem przyjdzie kolej na sprawy prywatne, których także zbiera się sporo. Jeżeli w tym okresie przewidujesz własny wyjazd, lub kogoś z domowników, zaplanuj rzecz całą z wyprzedzeniem. Pod koniec miesiąca na horyzoncie pojawi się może nowy, bardzo interesujący flirt... A znaki sympatyczne to — WAGA i RYBY.

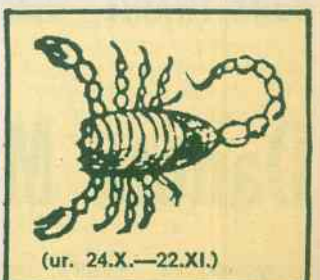
WAGA



(ur. 23.IX.—23.X.)

Początek grudnia obfitować będzie w obowiązki zawodowe i zajęcia społeczne. Nawet dość ważne sprawy osobiste będą musiały poczekać. Dopiero w drugiej połowie grudnia znajdziesz na nie trochę czasu. Jednakże nie za wiele, bo zaistnieje kilka skomplikowanych sytuacji, które zajmą Cię dość mocno. Dopiero ostatnia dekada miesiąca przyniesie więcej swobody i wówczas sprawy domu i rodziny wypłyną na plan pierwszy. Właśnie Twój nastrój i sposób bycia zdecydują, jaka będzie atmosfera w te ważne dni. Znaki dobre — BARAN i PANNA.

SKORPION



(ur. 24.X.—22.XI.)

Ten miesiąc będzie jednym z lepszych w tym kończącym się roku. Przede wszystkim sprawy zawodowe przyjmą bardzo korzystny dla Ciebie obrót. Słowa uznania, może jakieś wyróżnienie lub awans nie ominą Cię w tych dniach. W kontaktach prywatnych najpierw jakieś krótkie spięcie, które — na szczęście — szybko się wyjaśni i załagodzi. Potem już dobrze, ale nie rezygnuj z własnego zdania w sprawie, co do której będziesz mieć przekonanie, że racja jest po Twojej stronie. Znaki życzliwe — WODNIK i LEW.

STRZELEC



(ur. 23.XI.—21.XII.)

Miesiąc zacznie się od interesującego spotkania w gronie ludzi, których lubisz i cenisz. To sprawi, że będziesz w dobrym nastroju. Bardzo dobrze, bo spraw do zatawienia będzie sporo, a nie wszystkie proste i łatwe. Ale właśnie ten dobry nastrój i co za tym idzie — jasny umysł i inwencja — będą Ci pomocne. Pod koniec grudnia nowe kontakty, sympatyczne znajomości. Koniecznie pamiętaj o napisaniu do kogoś, kto teraz czeka na dowód Twojej pamięci. Znaki przychylne — BLIŹNIĘTA i KOZIOROŻEC.

KOZIOROŻEC



(ur. 22.XII.—20.I.)

To nie będzie łatwy miesiąc! Natkniesz się na zupełnie nowe sprawy i problemy. Sam będziesz musiał rozstrzygnąć, jak postąpić, aby powiodło się jak najlepiej! Zmobilizuj uwagę i pomysłowość, a wówczas okaże się, że potrafisz więcej, niż po Tobie oczekuje otoczenie, a nawet Ty sam! W kręgu spraw osobistych wszystko dobrze, pogodnie i serdecznie. Niemniej trochę relaksu, chwila odpoczynku od spraw i ludzi bardzo by Ci się przydały. Może uda Ci się zorganizować jakiś wyjazd? Znaki mite — RAK i STRZELEC.

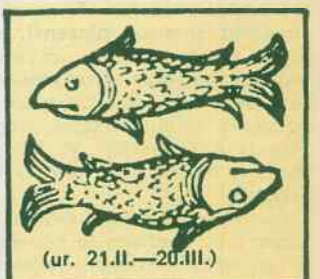
WODNIK



(ur. 21.I.—20.II.)

Ważny miesiąc, szczególnie jeśli chodzi o sprawy domu, serca i rodziny. Przyływ nowych uczuć, serdeczności przyjaźni. Będziesz pełen sympatii dla otoczenia, bliscy Ci ludzie nie pozostaną dłużni, więc staraj się taką atmosferę utrzymać jak najdłużej. Zobacysz, że i sprawy zawodowe przy takim nastroju pójdą Ci łatwiej. Ostatnie dni grudnia, mimo pewnego pośpiechu i nagromadzenia wrażeń, będą pomyślne. Spotkanie z kimś dawno nie widzianym odświeży zapomnianą przyjaźń. Znaki ważne — SKORPION i BYK.

RYBY



(ur. 21.II.—20.III.)

Nowe wydatki, choć nie zaskoczą to jednak nadwątlą Twoją kieszeń. Jeśli zamierzasz w tym miesiącu wyjechać, uważaj w drodze. W połowie miesiąca chyba nie unikniesz jakiegoś nieporozumienia w domu. Nawet jeśli trzeba będzie ustąpić, zrób to. Nie pora bowiem na napięte sytuacje, kiedy sprawy wymagają będą właśnie spokoju i dobrej atmosfery. Znaki, których przychylność odczujesz szczególnie — PANNA i BARAN.

NOWE GŁOSY,
NOWE TWARZE



Zdjęcie: Antoni Labrygo

Danuta Mizgalska

Twarz z okładki, jednej z ostatnich ubiegłorocznych „PANORAM”, w coraz większym stopniu staje się również twarzą polskiej estrady. DANUTA MIZGALSKA swój flirt z piosenką zaczęła od nagrody na Festiwalu Związku Zawodowego Chemików. Wkrótce potem trafiła do Studia Piosenki przy Estradzie Poznańskiej, kierowanego wówczas przez Jerzego Miliana. Stamtąd „porwała” ją Estrada Stołeczna, ale bardziej od roli piosenkarki drugiego planu w przedsiębiorstwie estradowym przypadła jej do gustu praca w zespole wojsk lotniczych „Eskadra”.

— Dwuletnia praca w wojskowym zespole estradowym — wspomina piosenkarka — pozwoliła mi poczuć się profesjonalistką. Tam nie wystarczyło śpiewać piosenki, musiałam tańczyć, być aktorką w wielkim, sprawnie wyreżyserowanym spektaklu... Obecnie czuję się nieco podobnie w najnowszym programie Estrady Poznańskiej „W 50 lat dookoła świata z Mieczysławem Foggiem”.

Pół wieku dookoła świata z piosenką i uśmiechem, to pomysł, który pozwala nestorowi polskiego i europejskiego piosenkarstwa prezentować swoje dawne i najnowsze przeboje, dzielić się wspomnieniami z muzycznych wojaży po pięciu kontynentach, być wodzirejem barwnego koncertu estradowego. Praca u takiego mistrza zawodu, to nie tylko duża satysfakcja, ale również swego rodzaju „wyższa szkoła” estradowego fachu...

Mocną stroną Estrady Poznańskiej są nie tylko uznane gwiazdy, jak Urszula Sipińska, Zdzisława Sośnica, czy Krzysztof Krawczyk, lecz również zastęp młodych, utalentowanych wykonawców, mogących liczyć na dobre przygotowanie do zawodu i sprawną opiekę impresaryj-

na. Jednakże o tym jak potoczą się dalsze losy adeptów poznańskiego Studia zadecyduje wiele czynników, takich np. jak znalezienie właściwych piosenek, ukształtowanie własnego stylu, udział w popularnym programie telewizyjnym.

Repertuar Danuty Mizgalskiej jest bardzo zróżnicowany, co po części wynika z poszukiwań najwłaściwszego oblicza artystycznego, a po części jest wynikiem kompromisów, jakie dyktuje życie estradowe. Szczególny sentyment żywi jednakże do muzyki country i ballad w stylu folk. Włączyła ostatnio do swego repertuaru utrzymane w takim klimacie piosenki Andrzeja Rybińskiego, Andrzeja Ellmanna, Jerzego Miliana i Aleksandra Maliszewskiego. Nagrała również polską wersję głośnego przeboju Roya Orbissona „Blue Bayou” (przypomnianego niedawno przez amerykańską piosenkarkę Lindę Ronstadt).

Danuta Mizgalska nawiązała ostatnio współpracę z Orkiestrą Rozrywkową PRITV w Katowicach, kierowaną przez jej dawnego profesora — Jerzego Miliana. Współpraca ta zaowocowała trzema udanymi nagraniami: „Chciałeś, masz” Piotra Pibera i Kazimierza Łojana, „Pomysł na ciebie” Aleksandra Maliszewskiego i K. Łojana oraz „Nasz uśmiech losu” Henryka Kuczyńskiego i Lecha Konopińskiego.

Właśnie o tej ostatniej piosence może Danuta Mizgalska powiedzieć „nomen omen”, jako że szczęśliwym trafem losu utwór ten stał się przebojem tegorocznego „Lata z radiem”, przynosząc popularność młodej piosenkarce, nie tylko w kraju, lecz również u naszych sąsiadów — w Związku Radzieckim i Niemieckiej Republice Demokratycznej, gdzie zaproszona została na występ.

A. K.

OD KAPELI Z KATOWIC DO SBB

Co oznacza „śląskie brzmienie”?

Jeszcze przed dziesięcioma laty „śląskie brzmienie” kojarzyło się słuchaczom głównie z Koszęciami. No, chyba, że ktoś sięgał głębiej i oprócz zespołu ŚLĄSK skłonny był pamiętać o dorobku WOSPRITV i Filharmonii Śląskiej, o tak zwanej „katowickiej szkole kompozytorskiej” i o muzyce filmowej Wojciecha Kilara... Ale i tak co roku, z okazji Dnia Górnika, telewizja najchętniej zwracała się o pomoc do „wesołych karlusów” z KAPELI Z KATOWIC, by dzięki nim ukazać odrobinę egzotyki, związanej ze śląskim folklorem miejskim.

O folklorze tym pisał ceniony znawca przedmiotu, prof. Adolf Dygacz: „Samotne pieśni miasta Katowic, podobnie jak innych śródmiejskich robotniczych, są niezwykle bogate tematycznie i dotyczą wszystkich dziedzin życia. Ten oryginalny folklor miejski jest nośny społecznie po dzień dzisiejszy...”

I rzeczywiście. Lucjana Czernego, Romana Przypadło, Egona Neumana, występujących najdłużej w śląskiej kapeli, proszono — nie tylko z okazji Barbórki — o udział w wielu liczących się imprezach, u boku odwiedzających Katowice znakomitości estrady. Nie zabrakło nawet zaproszenia z dalekiego New Jersey, ze znanego klubu polonijnego „Pias”. Obecnie 8-osobowy zespół, kierowany przez Jerzego Sojkę, wojażuje po całej Polsce z nowym programem, którego autorami są muzycyjący również w Kapeli z Katowic — Jacek Golasowski i Egon Neuman. Charakterystyczny koloryt mini-widowiska, przygotowanego pod auspicjami Estrady Katowickiej sprawia, że kapela cieszy się równym powodzeniem w Chorzowie, jak w Kielcach, czy w Bydgoszczy.

Jednakże folklor, zarówno w wydaniu zespołu Śląsk, jak i w żartobliwej konwencji Kapeli z Katowic, od dawna przestał być jedyłą wizytówką tutejszej „muzyki niepoważnej”. W leksykonach muzycznych, pilnie studiowanych przez najmłodsze pokolenie melomanów, pojawiło się hasło „silesian sound” — oznaczające ambitną, nowoczesną muzykę, proponowaną przez zespoły takie, jak SBB, Hokus, Krzak lub Irjon.

W gronie reprezentantów tzw. śląskiego brzmienia: Józef Skrzek, Antymos Apostolis i Jerzy Piotrow-

ski — tworzący grupę SBB — osiągnęli najwyższą pozycję. Ich sukcesom zawdzięczać należy obecność terminu „silesian sound” w palecie angielsko-języcznych nazw, służących do definiowania różnorodnych prądów i kierunków we współczesnej muzyce młodzieżowej.

Po niepowodzeniach, związanych z próbami wylansowania niektórych naszych gwiazd i zespołów pop muzyki na rynku zachodnim, fachowcy ze sceptycyzmem odnieśli się do podjętej w ubiegłym roku kolejnej próby wprowadzenia na tamtejsze estrady grupy SBB, grającej trudną, nowoczesną muzykę „hard-rockową” (zwłaszcza że nie udało się to samemu Czesławowi Niemenowi, który swego czasu był mistrzem Skrzeka, Apostolisa i Piotrowskiego).

Pierwsze doniesienia o dobrym przyjęciu płyty długogrającej nagranej przez zespół w RFN i pomyślnym przebiegu koncertów zorganizowanych na zachodzie Europy i w Skandynawii, powitano w kraju z pewną dozą niedowierzania.

Dalszy przebieg wydarzeń uwołał jednak największych nawet sceptyków od ciężaru wątpliwości: w 1978 roku zespół SBB nagral drugiego longplaya dla RFNowskiej firmy płytowej Intercord, zdobył Grand Prix na międzynarodowym festiwalu telewizyjnym w Knokke (Belgia), odbył koncerty w RFN, Austrii, Belgii, Holandii, Szwajcarii, Danii, Szwecji, zorganizowane przez agencję impresaryjną Aries; Józefowi Skrzekowi zaproponowano nagranie albumu solowego w RFN, jego kompozycjami zaczęli interesować się inni wykonawcy w kraju i za granicą.

W Polsce SBB nagral piątą płytę długogrającą „Ze słowem biegne do ciebie”, dwa single dla Tonpressu oraz autorską kasotę Józefa Skrzeka „Pamiętnik Karoliny” (Wifon). W przygotowaniu są również longplaye grupy, nagrane dla NRD-owskiej Amigi i czeskosłowackiego Supraphonu. Zarówno rodzimi, jak i obcy krytycy muzyczni, podkreślając oryginalność brzmienia proponowanego przez zespół, przypominają jego śląski rodowód.

Wspomina się również przy sposobności nazwiska innych muzyków i nazwy innych zespołów, mieszczących się w obrębie „silesian sound”. I tak np. Ireneusz

KAPELA Z KATOWIC





ZESPÓŁ SBB



IRJAN

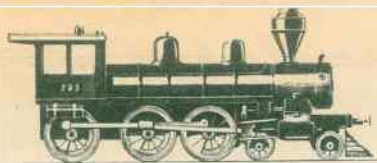
Zdjęcia: Leszek Sagan, Andrzej Szczepański, ARC

Dudek, jeden z czterech instrumentalistów, którzy — obok Skrzeka, Apostolisa i Piotrowskiego — tworzyli pierwszy skład Silesian Blues Band, stał się ostatnio bohaterem głośnej kontrowersji prasowej. Spór poszedł o zespół IRJAN, który w pierwszej części koncertów komercyjnego zespołu Mungo Jerry w Polsce rzeczywiście mógł może wzbudzić pewne wątpliwości, ale za to wybronił się znakomicie w konkurencji innych zespołów, grających folk i bluesa na niedawno zakończonym Festiwalu Kultury Studentów PRL w Poznaniu.

Najnowsze nagrania radiowe grupy Irjan (Ireneusz Dudek — Jan Janowski) i jej program koncertowy dowodzą silnych nadal związków zespołu z charakterystyczną konwencją, wypracowaną swego czasu przez Skrzeka, notabene również bohatera licznych swego czasu sporów. O kształt artystyczny eksperymentów SBB można zresztą spierać się nadal, jednakże nikt nie odmawia dzisiaj członkom zespołu talentu, pracowitości i oryginalności warsztatowej.

Podobne zalety wydają się cechować muzyków zespołów KRZAK czy HOKUS które to grupy z większym, bądź mniejszym powodzeniem usiłują dotrzymać kroku liderom „śląskiego brzmienia”. Brzmienia, które dla miłośnika rocka jest dziś równie łatwo rozpoznawalne, jak ongiś charakterystyczna melodia spod Góry św. Anny dla znawców folkloru ludowego.

ZYGMUN I KISZAKIEWICZ



LOCOMOTIV w gronie przyjaciół

Bliisko miesiąc koncertowała w kilkunastu większych miastach Polski duża grupa węgierskich wykonawców złożona z Locomotiv GT, V'Moto-Rock, Saroltzy Zalatnay i Zorana Sztewanovity. Po jednym z występów poprosiliśmy o chwilę rozmowy lidera Locomotivu — pianistę GABORA PRESSERA.

— Ciekawi nas jak narodził się pomysł programu „Locomotiv i jego przyjaciele”? Czy długo ze sobą koncertujecie?

— Znamy się i przyjaźnimy od bardzo dawna. W ciągu ostatnich dwóch lat nagraliśmy kilka dużych płyt, a więc kolejno „Fujom a dal!” — solowy album Ferencza Démjena, longplay Zorana Sztewanovity, „Zene — mindenki masképp csinálja” czyli szósty krążek LGT oraz płytę Saroltzy Zalatnay „Minden szó, minden o dal!”. Wystąpiliśmy tego roku podczas Międzynarodowej Wiosny Estradowej w Poznaniu i nagraliśmy film telewizyjny, w którym wystąpiliśmy wszyscy razem. W oparciu o wyniki tej współpracy Interkoncert i Pagart zaproponowały nam taką składankę.

— Czy należy traktować ją jako rzecz okazjonalną?

— Oczywiście. Program przygotowany był z myślą o konkretnym tournée i nie przewidujemy prezentowania go w przyszłości.

— Muszę panu powiedzieć, że wywołał on kontrowersyjne opinie. Najmłodszy słuchacz był zachwycony okazją do wspólnej zabawy, starsi, bardziej wyrobieni, przyjęli go niemal jak chałturę. Nie da się ukryć, że brakuje temu spektaklowi myśli przewodniej i głębszej dramaturgii; wiele elementów wydaje się nazbyt chaotycznych.

— Ależ to zamiar świadomy. Naszym zdaniem muzyka jaką prezentujemy nie wymaga specjalnych zapowiedzi, tasiecmowych przemówień i nadzwyczajnej choreografii. Chcieliśmy spontanicznej, żywej ekspresji i sądzimy, że udało nam się to osiągnąć. Czy widział pan tłumy wiwatujących na naszą cześć młodych ludzi? Ich zadowolenie i owacje najlepiej świadczą o pełnym zrozumieniu naszego zamysłu.

— Przejdźmy może do spraw związanych z działalnością LGT. Rok temu przeszliście kolejną (piątą bodajże) reorganizację. Czy odejście perkusisty Lauxa wpłynęło na zmianę brzmienia zespołu?

— Bynajmniej. Jestem zdania, że zmiana instrumentalistów nie wpływa na skryzystalizowaną koncepcję zespołu.

— Ale przyzna pan chyba, iż ta koncepcja ulegała w ciągu lat różnym deformacjom. Przecież gra Locomotiv z 1970 roku różni się radykalnie od dzisiejszych propozycji zespołu.

— No cóż, czasu nie da się powstrzymać. Trudno wymagać od nas, abyśmy tkwili stale w tej samej pozycji. Mogłoby to mieć zgubny wpływ na dokonania grupy, a być może w ogóle nie liczylibyśmy się na rynku.

— Wiele pochwał i wyróżnień otrzymał pan za działalność na polu musicalu...

— Dotychczas napisałem muzykę do trzech musicali, nagranych równocześnie na płytach firmy Pepita. Kolejno były to „Képzelt riport” (Wyimaginowany reportaż), „Harmincéves vagyok” (Mam 30 lat) i „Jo esztét nyar, jo esztét szerelem” (Dobry wieczór lato, dobry wieczór

miłość). Ostatni z nich wystawił przed rokiem budapeszteński Vig Színház, który już wcześniej przejawiał duże zainteresowanie tym gatunkiem scenicznym. Obecnie jednak nie piszę niczego w konwencji musicalu. Pochłania mnie wiele innych zajęć...

— No cóż, niezależnie od roli nadwornego kompozytora Locomotivu jest pan autorem piosenek dla innych wykonawców...

— Właśnie niedawno Pepita wydała drugi krążek Zorana Sztewanovity. Płyta cieszy się na Węgrzech dużym zainteresowaniem. Ja zajęłem się opracowaniem strony muzycznej, zaś brat Zorana — Dusan (niegdyś gitarzysta zespołu Metro) napisał wszystkie teksty.

— A co z nowymi płytami LGT?

— Na rynku dostępny jest obecnie podwójny „Aranyalbum” (Złoty Album), na którym znalazły się największe nasze przeboje w nowych wersjach instrumentalnych. Natomiast jeszcze w tym miesiącu ukazuje się longplay zatytułowany „Mindenki” (Wszyscy). Będzie to ósma pozycja w naszej dyskografii, nie licząc płyt musicalowych.

— Jakże wyjazdy zagraniczne oczekują Locomotiv w najbliższej przyszłości?

— Po koncertach w Polsce wracamy do Budapesztu, by przygotować się do zaplanowanego na styczeń dłuższego tournée po Francji, podczas którego być może zaważymy również o Międzynarodowe Targi Muzyczne MIDEM'79 w Cannes. Odwiedzimy też Wielką Brytanię i po raz pierwszy — Kubę!

Rozmawiał:
ISTVAN GRABOWSKI

Zdjęcie: Laszlo Hepelüs



KILKA PRZYPOMNIENI



Grudzień — okres chłdów i zmiennej pogody. Trzeba więc pamiętać o twarzy i odpowiednio chronić ją przed niekorzystną aurą. Nie zapominajmy jednak i o ujemnym wpływie na cerę ciepła kaloryferów. Wprowadźcie miewamy w domu nawilżacz powietrza (ich rolę spełniają nieźle także kwiaty w doniczkach), ale... różnie z tym bywa. Krótko mówiąc — działac wiński „na dwa fronty”.

A więc — przed wyjściem z domu — starannie pokrywamy twarz tłustym lub półtłustym kremem, w zależności od temperatury na dworze (w czasie mrozów twarz smarujemy kremem tłustym). Oczywiście, twarz nie powinna się świecić; warstwę kremu pokrywamy więc pudrem.

A po powrocie do domu — skórę starannie oczyszczamy. Najlepiej za pomocą ciepłej wody i mydła. Można jednak — odpowiednim mleczkiem kosmetycznym lub tonikiem. Zmywacze tego rodzaju (w sprzedaży znajduje się spory ich wybór) są często wręcz niezbędne. Wskazane są zwłaszcza dla osób nieco starszych oraz wszystkich o cerze suchej. Chodzi o to, aby

skóra w domu po prostu wypoczywała. A wieczorem — przed udaniem się na spoczynek? Oczywiście, znów twarz i szyję dokładnie myjemy lub oczyszczamy zmywaczem lub tonikiem. I dopiero wówczas łudujemy skórę krem odżywczo-nawilżający.

Sporym kłopotem jest właściwy dobór zmywaczy, toników i kremów — na dzień i na noc. W tej sprawie konieczne jest osobiste doświadczenie lub pomoc fachowej kosmetyczki. Jeśli jednak wszystko w tej dziedzinie jest jasne — jedna rada: starajcie się nie zmieniać tych kosmetyków (oczywiście, jeśli można je kupić, bo z dostawami do drogerii — jak wiemy — bywa różnie).

No i nie zapominajcie o maseczkach! Wygospodarujcie raz w tygodniu nieco więcej czasu na ten niezbędny zabieg. Oczywiście, stosujemy je po uprzednim starannym oczyszczeniu skóry z zaskórników — poprzedzonym parówką ziołową. Najlepsze maseczki o tej porze roku? Dobre są... wszystkie. A więc — z marchwi, kapusty kiszanej, świeżego sera, miodu, płatków owsianych itp.

● Mężczyźni ulegają zbyt łatwo mitowi męskiej siły — twierdzi amerykański psycholog, dr Herbert Goldberg — a to najprostsza droga do... samozagłady.

O co chodzi? Ano o to, że mężczyźni uważają, iż muszą być silni i sprawni, muszą się nieustannie „wykazywać”, a ponieważ to nie jest wcale takie łatwe — ulegają stresom, które prowadzą do licznych zaburzeń ducha i ciała. Dowodem tego są również samobójstwa. Jak wiadomo, mężczyźni popełniają je 3—4 razy częściej niż kobiety.

● Zeby jednak nie kończyć „na ponuro” — ciekawostka: kolor oczu związany jest z charakterem. Niebieskooccy myślą logicznie, są szlachetni i lojalni, dbają o siebie i o innych. Ciemnooccy natomiast skłonni są do płaczu. A zielonooccy? Są wygodni, delikatni, skrupulatni i... ustepliwi.

KRAWATOWA ZABAWA

Ponieważ krawaty znów się nosi — warto wiedzieć, że krawaty nie tylko zdobią, ale i... zdradzają nasz charakter. Słowem — choć o tym może nie wiemy — pokaż, jaki krawat nosisz, a powiem ci kim jesteś! Jakie więc nosisz?

W KRATKĘ? — Masz otwartą głowę i w ogóle chłonny umysł. Potrafisz myśleć i działać. Bardziej jednak teoretycznie niż praktycznie. Również rozumem, a nie sercem kierujesz się w miłości.

GLADKIE? — Jesteś zdecydowany na wszystko, jeśli raz podjąłeś jakąś decyzję. A przychodzi Ci to dość łatwo, więc na beczynność nie możesz się skarżyć. Szybko także nawiązujesz znajomości i nie masz kłopotów w okazywaniu uczuć. U partnerki cenisz jednak przede wszystkim... praktyczność.

WE WZORKI? — Lubisz spokój, rozagę i tzw. solidne wartości. Nietatwo Cię wzruszyć i poruszyć, ale jeśli już — zapalas się szybko, często aż do granic entuzjazmu. Sprawdza się to zwłaszcza w kontaktach z kobietami. Jednak tylko wobec tej „jednej jedynej” potrafisz być naprawdę czuły.

W UKOSNE PASKI? — Jesteś zbyt pewny siebie, a czujesz się wyśmienicie tylko wtedy, gdy możesz górować nad otoczeniem. Nie zawsze jest to dobre, ale czasem przynosi niezłe rezultaty

w życiu. Trudno jednak o przyjaźń. O szczęściu w miłości też trudno mówić, zwłaszcza że z reguły bierzesz — niewiele dając.

W GROSZKI? — Jesteś zbyt porywczy, ale nie brak Ci dobrych pomysłów i słusznych decyzji. Otoczenie rzadko Cię jednak rozumie, tym bardziej że o nadmiar równowagi psychicznej trudno Cię posądzać. Słowem — nietatwo jest z Tobą żyć, ale jeśli już ktoś się na to zdecydował — nigdy nie jest mu nudno.

A teraz — sprawdź zawartość swojej szafy i oceń samego siebie. Jeśli w szafie pusto — kup krawat, najlepiej charakterystyczny Twoją osobowość i charakter. Może... we wzorki?



Nasze zdrowie



O KAMICY MOCZOWEJ

mówi
prof. dr JAN LENKO —
kierownik Kliniki Urologicznej
AM w Krakowie

— Co bywa przyczyną powstawania kamieni moczowych?

— Etiologia kamicy nie jest do dziś wyjaśniona. Kamień powstaje na pewno w przewlekłym zapaleniu dróg moczowych i w stanach utrudnionego odpływu moczu. Inne czynniki — takie, jak odżywianie, klimat, skład wody czy rasa — nie mają udowodnionego wpływu na rozwój kamieni. Można jednak z dużym prawdopodobieństwem ustalić, że praca w wysokiej temperaturze jest czynnikiem sprzyjającym wystąpieniu kami-

cy. W tych warunkach następuje duża utrata wody przez skórę i płuca, co z kolei prowadzi do zagęszczenia moczu i krystalizacji rozpuszczonych w nim związków kamieniorodnych. Natomiast kamica metaboliczna rozwija się na tle zaburzeń przemiany materii.

— Leczenie?

— Leczenie jest zachowawcze, jeśli kamień jest mały i rokuje samoistne odejście. Wskazaniem do operacji jest kamień, który utkwił w moczowodzie i powoduje dotkliwie bóle lub zagraża uszkodzeniem nerki, a także duże kamienie miedniczki i pęcherza. Staramy się jednak nie operować „kamienia jako takiego”, lecz znaleźć i usunąć przyczynę jego powstania, a więc wadę rozwojową w układzie narządów moczowych, chorobę gruczołu krokowego, ewentualnie szyi pęcherza lub cewki.

— Czy można zapobiec kamicy?

— Profilaktyką można objąć ludzi zawodowo narażonych na zachorowanie na kamicy. Polecamy im przyjmowanie dużej ilości płynów, szczególnie w lecie, kiedy zwiększa się pozanerkowa utrata wody. Jeśli zaś chodzi o kamicy fosforową — ustala się odpowiednią dietę. Nie zapobiega to jednak nawrotom tej choroby. Dobre efekty daje również kuracja pitna w Krynicy, Cieplicach lub Szczawnie, którą winno się powtarzać co 2—3 lata.

A. B.



● Mózg człowieka waży coraz więcej. Jak wskazują dane z lat 1860—1940, średnia waga mózgu mężczyzny wzrosła z 1372 do 1424 g a w przypadku kobiet — z 1242 do 1265 g, przyrost wagi mózgu kobiet okazał się więc mniejszy. Na szczęście nie ma to większego znaczenia...

POWRÓT DO...DOMU?



Zdawać by się mogło, że problemy typu: czy kobiety powinny pracować zawodowo czy być na utrzymaniu męża — dawno już rozstrzygnięto samo życie. Okazuje się jednak, że raz po raz odżywają na nowo.

Oczywiście, nie chodzi tu o tzw. „antagonizm płci”. Sprawa jest dość prozaiczna. Po prostu — od czasu do czasu ktoś denerwuje się z powodu nie zawsze sprawnie funkcjonujących usług, a ponieważ sprawa ich rozwiązania jest trudna — uwa-

ża, że powinniśmy cofnąć koło historii i wrócić do epoki naszych babć.

Rzecz w tym, że ten powrót jest niemożliwy. I to nie tylko dlatego, że 43 proc. kobiet w Polsce pracuje zawodowo (co by było, gdyby przestały pracować — nietrudno sobie wyobrazić), lecz dlatego, że kobiety chcą pracować i w tej pracy widzą potwierdzenie swego równouprawnienia.

Oczywiście, nietatwo jest kobietom godzić pracę zawodową z obowiązkami macierzyńskimi i działalnością gospodarską w domu. Nie ma mowy, aby kobieta mogła być dzisiaj doskonałą we wszystkich swych rolach, jakie pełni. Którąś z nich musi zaniedbać. Ale — proszę Państwa — można i trzeba kobietom pomagać! Trzeba część ich obowiązków dzielić. Na tym m. in. polega przecież partnerstwo w rodzinie — uznane powszechnie za jedyny rozsądny (i sprawiedliwy) sposób współżycia.

Zawracanie biegu historii to więc trud raczej jałowy. Stwierdził to zresztą bez ostentacji doc. dr A. Tymowski:

„Zostawmy kobiecie prawo wyboru. Jeżeli chce pracować zawodowo, powinna mieć taką możliwość, a jeżeli chce tylko zajmować się domem, to także powinna sama decydować”.

A tak na marginesie: czy nie byłoby lepiej — zamiast tracić niepotrzebnie czas, rozstrząsając tzw. „kwestię kobiecą”, której nie ma — zająć się z większą energią „kwestią usług”, która jest?

DZIEŃ BEZ DYMU

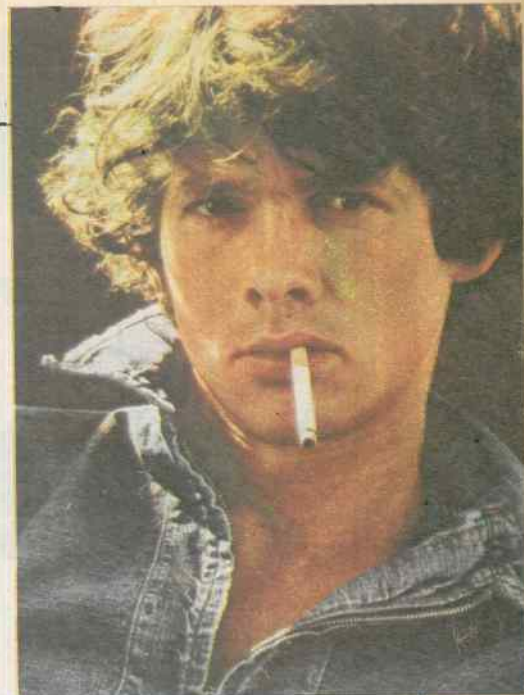
„Palisz, płacisz, zdrowie tracisz” — dowiadujemy się z popularnych wywieszek w tramwajach, autobusach czy poczekalniach placówek Służby Zdrowia. — „Nikotyna — Twój wróg”, „Papierosy — to rak” itp.

Cena przyjemności palenia jest rzeczywiście wysoka. Wiadomo w każdym razie nie od dziś, że palacze wypalający dziennie jedną paczkę papierosów tracą w rezultacie 3 lata życia, wypalający zaś dziennie dwie paczki — 6—8 lat.

Wiadomo też, że rak płuc i oskrzeli występuje u palaczy 10-krotnie częściej niż u niepalących, rak pęcherza — 2—3 razy częściej, a rak przewodu pokarmowego — 3—5 razy częściej. Występowanie chorób nowotworowych spowodowane jest przede wszystkim smołą, jaką zawierają papierosy (z filtrem — też), natomiast nikotyna znajdującą się w papierosach jest przyczyną chorób sercowo-naczyniowych, nadciśnienia i otyłości.

Cóż jednak z tego, że o tym wiemy, skoro... palimy nadal — i to coraz więcej?

Tu i ówdzie — zgodnie z zarządzeniem prezesa Rady Ministrów — wprowadza się zakazy. Ograniczenia niewiele jednak dają. Współdziałać z nimi winna szeroka akcja społeczna —



zwłaszcza w szkołach i przez placówki Służby Zdrowia. I to trwająca przez cały rok. Sensowne byłoby wprowadzenie zakazu sprzedawania papierosów dzieciom i młodzieży. A może także zamieszczanie na opakowaniach wyrobów tytoniowych odpowiednich ostrzeżeń?

O tym jednak, czy „palić — nie palić” zdecydować winniśmy sami. Rozsądek mówi, że decyzje te powinny być w każdym przypadku negatywne. Zwłaszcza że palenie nie dodaje już wdzięku, a wędzenie się w tytoniowym dymie nie konserwuje.

WARTO WIEDZIEĆ...

● Pigułka dla kobiet okazała się zawodna. W każdym razie — są liczne do niej zastrzeżenia, a nawet przeciwwskazania. Myśli się więc o pigułce dla mężczyzn. Sprawa nie jest jednak prosta i — jak wynika z ostatnich komunikatów naukowych ośrodków, w których poddawane są one próbie — trzeba na nie jeszcze poczekać dobrych parę lat.

● W tej sytuacji — znów stają się aktualne „stare sposoby”. Jakie? Największe gwarancje daje metoda Ogina-Knausa, po-

legająca na ustaleniu okresu jajeczkowania po uprzednim kilkumiesięcznym codziennym mierzeniu temperatury własnego ciała. Żmudna jest ona, ale zdrowa!

● A warto myśleć o zapobieganiu — zważywszy stale rosnącą ilość przypadków przerywania ciąży. Stwierdza się, że co druga ciąża jest likwidowana w ten brutalny i wyjątkowo niezdrowy dla kobiet sposób. Chodzi więc o mniejsze zło. Poza tym — trudno przecież narzucać kobietom wielodzietność wbrew ich woli, a bywa — że i możliwości.

Coś dla podniebienia

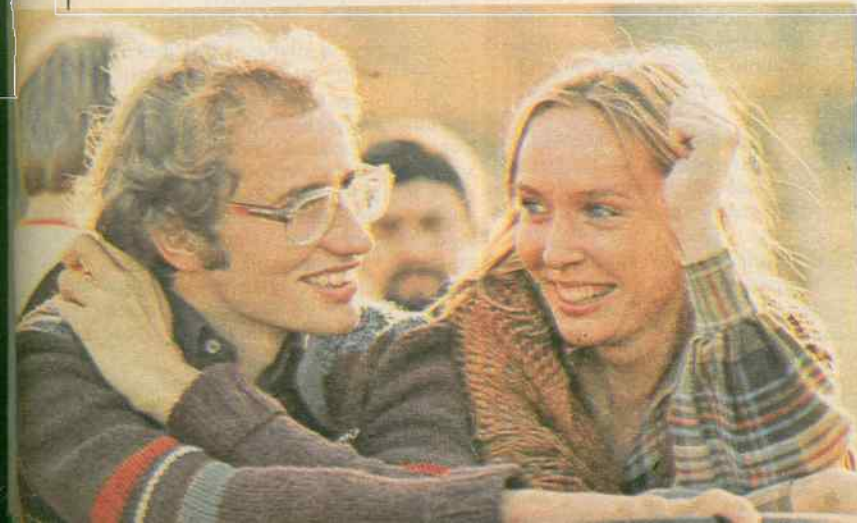


DZIŚ OMLET Z SOSEM!

Omlęt — to danie niezwykle szybkie, a jednocześnie smaczne. Tym razem jest to omlęt zapiekany — z sosem serowym. Jest bardzo pikantny, warto więc włączyć go do naszego menu.

Z łyżki masła i mąki zrobić jasną zasmażkę, rozprowadzić mlekiem (4 łyżki), wsypać 4 łyżki tartego żółtego sera, a gdy się rozpuści — zdjąć z ognia i wymieszać z żółtkami. Doprawić solą, startą gałką muszkatołową i sokiem z cytryny.

Następnie ubić 4 jajka, dodać 2 łyżki wody, trochę soli i pieprzu. Na dużej patelni rozpuścić 2 łyżki margaryny, wlać masę jajeczną i smażyć na małym ogniu, podważając brzegi, żeby masa mogła spłynąć pod spód. Omlęt złożyć w pół, zalać przygotowanym wcześniej sosem i wstawić do piekarnika — aż się zrumieni. Przed podaniem na stół — posypać siekaną natką pietruszki.



Ulica Ogariowa 6

Przekład: ALICJA ŻUKOWSKA

Płk Kostienko prowadzi skomplikowane śledztwo w celu wykrycia sprawcy lub sprawców mnożących się wypadków morderstw przez otrucie. Wszystkich zabójstw dokonano w pobliżu sklepów samochodowych. Przebiegu wypadków można się jedynie domyślać. Prawdopodobnie koło salonu samochodowego ktoś podchodził do delikwenta proponując mu pomoc w zakupie wołgi poza kolejką. Potem chyba razem szli do hotelu, aby oblać transakcję i spokojnie omówić jej szczegóły. Przesłuchani dosypywali do alkoholu środek nasenny w dużej dawce. Okradali uśpionego i znikali nie domyślając się nawet, że zostawiają po sobie „mokrą robotę”. W ciągu 40 dni zmarły w ten sposób trzy osoby. Ani razu na miejscu przestępstwa nie znaleziono odcisków palców. Na stole zostawały jedynie szklanki, z których piły ofiary. Na butelkach tylko linie papilarnie otrutych. Sądząc po stylu roboty wszędzie działała ta sama szajka.

Jurij Michajłowicz Proskuriakow — dyrektor przedsiębiorstwa jubilerskiego w Prigorsku zamieszany jest w nielegalny obrót kamieniami szlachetnymi. Jeden z jego wspólników Wiktor Keszatawa usiłuje oślnić blaskiem granatów aktorkę Lenę Toropową. Ta broni się przed jego napastliwością, krzycząc, Keszatawa ucieka, ale zapomina o drogocennych kamieniach. Laboratorium kryminalistyczne wykrywa na nich reszki środka nasennego. Ujęto i przesłuchano Keszatawę, ale niewiele wniosło to do sprawy — biegły w kodeksie karnym Keszatawa wyparł się wszystkiego. Płk Kostienko zaczął jednak interesować się przedsiębiorstwem jubilerskim w Prigorsku skąd prawdopodobnie pochodziły granaty. Okazało się, że zatrudniony tam na stanowisku kierownika działu kontroli technicznej Paweł Nalbandow zniknął, a jego fotografię opatrzone podobno dowód osobisty na nazwisko Konstantin Uruszadze. Śledztwo trwa.

Kontakty osobiste

Proskuriakow potrafił analizować swe posunięcia i nastroje, obserwował je jakby z boku. Ta cecha nasiłała się w nim stopniowo; dawniej nawet jej u siebie nie podejrzewał. Tak było dopóty, dopóki nie pojawił się u niego Pimienow z ogromnym rubinem o dziwnym kształcie.

— Przekażcie to, towarzyszu Proskuriakow, żonie jako prezent ode mnie na gwiazdkę!

— Coś ty! — obruszył się Proskuriakow. — Zwariowałaś? Przecież to pachnie kryminalem! Zabierz to i zapomnijmy o całym incydencie.

— Juriju Michajłowiczu, czego się boicie! Ten kamień znalazłem w czasie urlopu. Najlepiej odpoczywam, gdy łażę po górach... Jedni żłopią wodę, inni chodzą na babki, ja zbieram kamiki — co w tym zdrożnego? Do kogo należą u nas bogactwa naturalne? Ano właśnie — do ludu pracującego. I sam go oszlifowałem, było się kiedyś majstrem, Juriju Michajłowiczu. I teraz jeszcze dla przyjemności czasem coś sobie podtubię!

— Ile on wart?
— To unikat, trudno określić jego wartość, zresztą jakie to ma znaczenie? Czy można określić wartość rysunku dziecka ofiarowanego matce? Albo obrazu Rlelina! Kupczenie dziełem sztuki to bluźnierstwo! — Pimienow zaśmiał się. — Spróbuj

ocenić szczerąść dziecka, przecież to ci się nie uda! Ież ono serca wkłada w swój rysunek.

— Nie kręć, Pimienow — cicho rzekł Proskuriakow. — Powiedz od razu, o co ci chodzi?

— Mnie? Juriju Michajłowiczu, co wy! Jeśli tak mnie zrozumieliście...

— Nie zgrzywaj się, Pimienow! Później trudniej ci będzie wrócić do tematu.

Pimienow na moment zamarł, opadł w głąb fotela i zmalował jak nadmuchana gumowa kukła, gdy z niej uchodzi powietrze.

— Mogę zapalić? — spytał, spoglądając uważnie na Proskuriakowa.

— Pa!

— Juriju Michajłowiczu, może porozmawiamy gdzieś w innym miejscu?

— Dlaczego? Nie mam powodu bać się. Myślisz, że nas podsłuchują? Uczciwych ludzi nie podsłuchują.

Pimienow wstał z fotela, nie zapaliwszy papierosa.

— Chyba nie wszystko rozumiem... Przepraszam, jeśli powiedziałem coś nie tak.

— Siadaj... domniemana niewinności — słyszałeś o czymś takim?

— Zdarzało się.

Proskuriakow włączył radio, wyszedł zza masywnego biurka, siadł w fotelu naprzeciw Pimienowa.

— Uspokoileś się?

— Tak. Pytaliście, o co mi chodzi, prawda? Odpowiem wprost. Chcę,

żebyście mi pomagali w produkcji nie z obowiązku, lecz z serca.

— To znaczy, żebyś tobie w pierwszej kolejności przydzielał obrabiarki, środki na budownictwo i zatrudniał korzystne preliminarze?

— Tak, Juriju Michajłowiczu. Nadzwyczajnych rzeczy nie pragnę. Domniemaną niewinność też pojmuję na nasz, socjalistyczny sposób!

— Po co w takim razie łapówka? Ten kamień, Pimienow, wart jest z siedemset rubli! Nie jestem wprawdzie w tej branży takim specem jak ty, lecz trochę się orientuję. „Prezent dla żony na gwiazdkę. Naiwnego szukasz, co? Uważasz, że siedzę tu w gabinecie albo wołgą rozbijam się po mieście i niczego wokół siebie nie dostrzegam? Tak sądzisz?”

— Nie! Gdybym tak sądził, Juriju Michajłowiczu, nie zaryzykowałbym ofiarowania wam tego kamyczka — złośliwie mrucząc oczy odpowiedział wolno Pimienow. — Wiem na przykład, gdzie spotykacie się z naszą ekonomistką z sekcji pracy i płacy. Do jakich barów zaglądaliście w pierwszym stadium waszego romanisu. Ale skąd wytrzasnęliście dla niej pieniądze na spółdzielcze mieszkanie, tego nie wiem. Uczciwy z was człowiek, Juriju Michajłowiczu — o tym nawet wróble na dachu ćwierkają — i dlatego ciężko będzie wyleźć z długów.

Proskuriakow wziął ze stołu teczkę z korespondencją od dyrektorów fabryk, odszukał ostatnie pismo Pimienowa z prośbą, by dla rozszerzenia produkcji przydzielono mu nowe szlifiernie i półautomatyczną wiertarkę, pożyczył od Pimienowa pióro i zamasyżył nakreślić swą decyzję: „Załatwione odmownie! Nie można myśleć tylko o własnym przedsiębiorstwie. Należy mieć na uwadze przede wszystkim rozwój całej gałęzi przemysłu”.

— Masz trzymaj! — powiedział. Żebyś nie tracił niepotrzebnie państwowych pieniędzy na hotele.

Pimienow z uwagą przeczytał decyzję, uśmiechnął się w poczuciu winy, starannie złożył pismo i schował je do wewnętrznej kieszeni marynarki.

— Do widzenia, Juriju Michajłowiczu! — rzekł wstając. — I co złego to nie ja! Przyszedłem tu ze szczerym sercem, możecie mi wierzyć lub nie.

Trzymał już rękę na klawczyku, gdy Proskuriakow zawrócił go od drzwi.

— Siadaj! — powiedział nabuszony i westchnął. — Dobrze przynajmniej, że nie próbowałeś mi grozić. „Jeśli piśnecie komu słówko i ja nie będę trzymał języka za zębami”. Odwołaj się od mojej decy-

zji wyżej. Napisz, że nie rozumiem twojej prośby, niech cię poprze rada zakładowa, załoga. Jasne?

— Całkowicie. Pewnie niejedyn raz trzeba tak będzie robić.

— To zależy, jak potoczy się sprawa.

— Całkowicie jasne — powtórzył Pimienow, drżącymi palcami wyjął papierosa siewier i teraz już bez pytania zapalił.

— A swój kamyczek zabierz — poradził Proskuriakow. — Nie jest mi potrzebny. Tu popełniłeś błąd, dziwaku.

Pimienow schował kamień, przysunął się do Proskuriakowa i rzekł spokojnie, ze współczuciem:

— Przydałyby się pieniądze? Rozumiem. To na początek. Tysiączek.

— To żadna suma, Pimienow. Za ledwie trzecią część tego, co mi dasz za odmowę. Potrzebne mi są trzy tysiące, i to niezwłocznie. Inaczej gotów byłbym pomyśleć, że nisko mnie cenisz i uważasz za głupca.

— Mam z sobą jeszcze półtora tysiąca. Mogę skoczyć po resztę, wrócę natychmiast, jeśli poczekać.

— Dobra. Zostań moim dłużnikiem. Kiedy będę w potrzebie, dam ci znać. Ustalmy, że co trzecią twoją prośbę załatwię odmownie, jasne? A pieniądze, które mi pożyczysz, zwrócę ci z czasem co do kopiejki. Chyba nie zażądasz ode mnie procentu? Czy też wolisz na takich warunkach jak w banku?

* * *

Przez trzy lata wszystko toczyło się zwykłą kolejką. Proskuriakow był taki jak dawniej i z przekonaniem twierdził, że nie bierze łapówek, a pieniądze, które wręczał mu Pimienow, to jedynie pożyczka — w sumie zebrało się tego sześć tysięcy rubli. Wystarczyło na mieszkanie i na meble dla ekonomistki Olgi, na ich wspólne trzy wypadki do Gagry. W domu życie płynęło po dawnemu — nudno, od pensji do pensji.

Zmiana nastąpiła rok temu: Pimienow przyjechał na kolejną delegację i rozpostarł przed Proskuriakowem wykres. Wynikało z niego, że w fabryce jubilerskiej w Prigorsku na zlecenie Proskuriakowa przydzielono znacznie więcej deficytowych szlifierek i funduszy niż innym przedsiębiorstwom. Ale tylko trzecia część tego przydziału, na ogólną sumę sześciuset czterdziestu tysięcy rubli, dotarła do fabryki.

— Wychodzi na to, Juriju Michajłowiczu — powiedział wtedy Pimienow — że chcąc nie chcąc jesteś

teraz szefem naszej firmy. Przecież tych warsztatów, które dla nas zdobyłeś, nie wywoziłem do Turcji, lecz użyłem je do przedsięwzięcia na wielką skalę. Rozmieściłem szlifiarki w małych pracowniach oddanych mi ludzi. Towar też produkuję nie dla Turcji, lecz dla radzieckiego społeczeństwa. Rozkręciłem interes, teraz czas, żebyś stanął u jego steru. Choćbyś nie wiem jak lawirował i próbował się od tego wykręcić i tak ci się to nie uda. Zrozum mnie dobrze, Juriju Michajłowiczu, nie zamierzam cię straszyć ani agitować, po prostu stwierdzam, jaki obrót przybrały sprawy: jeśli wyznasz swoją winę — dostaniesz dziesięć lat, jeśli oni cię zamkną — maksimum piętnaście. W naszym wieku to żadna różnica. Jakże więc, przepędzisz mnie z gabinetu czy wystuchasz do końca?

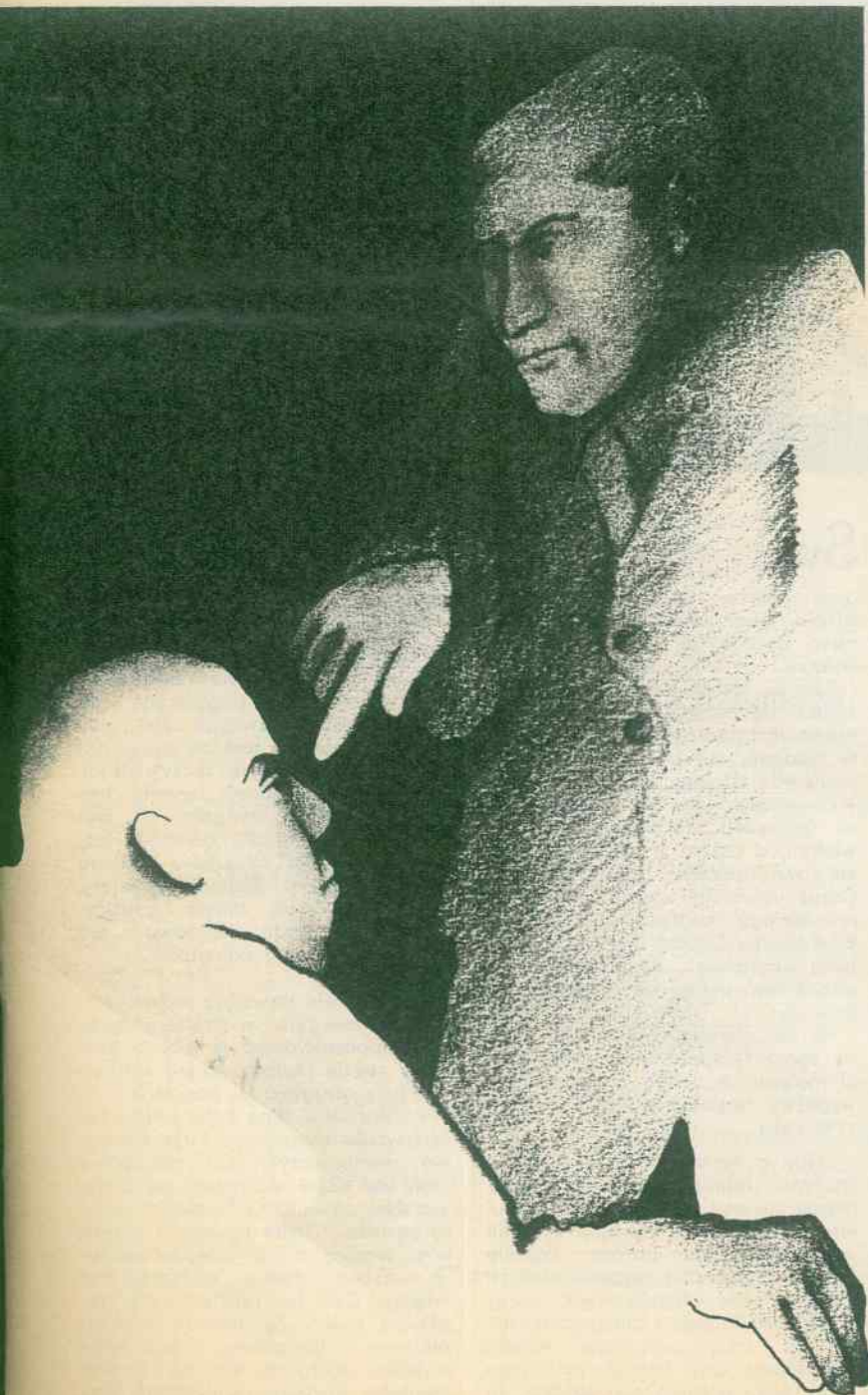
Po tej rozmowie, analizując swoje postępowanie, Proskuriakow po raz pierwszy z kolei zdumiony był głękością ludzkiej natury, jej gotowością do samoobrony. Pamiętał dokładnie bieg własnych myśli: gdy Pimienow przedstawił mu strukturę przedsiębiorstwa i wymienił jako jej podstawę kategorię deficytu, długo siedział w milczeniu, zaciągając się dymem flory Hercegowiny. (Jedynie na co pozwolił sobie, gdy pojawiły się dodatkowe pieniądze, to zamiast na kasek na florę Hercegowiny:

kiedy palił te papierosy, czuł się jakis ważniejszy, spokojniejszy).

Na tamtym etapie mógł jeszcze pozostać dawnym Proskuriakowem — tak mu się przynajmniej wydawało. Wystarczyło podnieść słuchawkę i zadzwonić. Powstrzymał się, ponieważ nie bardzo wiedział, dokąd w tym konkretnym przypadku powinien dzwonić — do ministerstwa, czy też może wprost na milicję?

„Ostatecznie — rozmyślał — nikt mi nie udowodni, że wziąłem te przekłete sześć tysięcy. Odmowy na prośby Pimienowa leżą w archiwum. Są tam również i jego odwołania do instancji nadrzędnych. Wynika stąd, że pomagałem mu pod naciskiem z góry. Kto udowodni, że ja sam kierowałem Pimienowa do różnych instancji, pouczyłem go, jak ma pisać odwołania, jak motywować je koniecznością wprowadzenia postępu technicznego i podnoszenia wydajności pracy? Zrobi się hałas? Zdejmą mnie ze stanowiska? No i co z tego? Będę pracował jako zwykły inżynier. Choć nie, nie będę — nie mam studiów. I to jest mój zasadniczy błąd. Chciałem zasiąść na dyrektorskim fotelu, wybić się jak najprędzej; a należało skończyć politechnikę. Dyplom — to teraz jak żelazna koleczka. Do diabła z dyplomem, zrobią ze mnie gryzliwca, no i co? Zawsze co wolność, to wolność!”

Rysunek: ZBIGNIEW DZIERZKOWSKI



Natychmiast jednak wyobraził sobie przysłą egzystencję za osiemdziesiąt rubli na miesiąc, żonę, która już obecnie go piłuje, że przynosi jej za mało pieniędzy. Jak na jawie zobaczył siebie w długie wieczory spędzane zawsze w domu, bo nie będzie zbawiennych „narań”, pod których pretekstem spokojnie był u Olgi, ani służbowych wyjazdów dla wymiany doświadczeń, na które mógł zabierać Olę, słowem, nie będzie wszystkiego tego, do czego przywykł przez dwadzieścia lat dyrektorowania, a zwłaszcza przez ostatnie trzy lata, gdy nie musiał w domu zwijać się niczym pisak, znośić poniżających awantur, jakie robiła mu Irina z powodu zastawianych sobie zaskórniaków, ani wymyślać bajeczek na temat rozliczeń z przejazdów służbowych.

— Tęgo narozrabiałeś, Pimienow! — stwierdził. — Zamkną cały twój kramik i ciebie razem z nim.

— Nie będzie tak źle, Juriju Michajłowiczu! Widzę, że przeżywasz udręki sumienia. Zaraz objaśnię strukturę naszej firmy, to was od razu uspokoi. Nie wysłałem jej z palca. Zgłębiłem współczesne problemy naszej ekonomii. Jak „Ojciec nasz” znam zagadnienia kooperacji i integracji między zakładami i gałęziami przemysłu. Jak się okazuje, ciągle jeszcze człowiek rzutki może u nas żyć spokojnie, pomagać innym i coś niecoś odłożyć sobie na czarną godzinę. Na razie ja, dyrektor, muszę czekać na polecenie od was, wy — na polecenie z ministerstwa, ministerstwo ma nad sobą Komisję Planowania. Jako dyrektor palcem nie ruszę, by zrobić wam cokolwiek na przekór, nie chcę dorobić się zawatu, a i lata już nie te, czasy „spalania się w pracy”, chwala Bogu, mam poza sobą, zmądrzałem na tyle, że nawet udaje mi się zachować normalne ciśnienie. Wtedy też palcem nie ruszyłem bez odgórných dyrektyw. I po co? Każę — wykonam. Jak powiadają: z góry lepiej widać. Ale nie o to chodzi, Juriju Michajłowiczu. Piszą teraz w gazetach o kooperacji, to znaczy, że wolno, no więc? Skooperowałem się z małymi pracownikami. Jeśli w fabryce dam robotnikom dodatkowe zlecenie, zaraz zgłosi to do nadzoru. W małej pracowni każde zamówienie wykonają — uczciwie, z pożytkiem dla ludzi pracy, jak to się mówi. Towaru dla siebie nie chowam, lecz przez uspołecznioną sieć handlu puszczam go na rynek, dla ludzi. Wszystko gra. Muszę jednak znać potrzeby rynku, kategorię deficytu, że tak powiem. Powinniśmy nadrobić to, co przegapiło państwo. Z naszymi środkami i nowoczesną techniką cuda można zdziałać, Juriju Michajłowiczu. Spójrzmy na to z innej strony: może narodowi wyrządzamy szkodę? Gdzie tam — przecież towar pójdzie na nasz rynek, a nie do Turcji!

— Nie udawaj, Pimienow, idioty nawiedzonego przez Ducha Świętego! Znaj umiar!

— Nie udaję idioty. Teraz na przykład z odprysków, co zostają przy szlifowaniu granatów, zorganizowałem produkcję igieł do adapterów. W sklepach ich brak, państwo wydaje na nie cenne dewizy, a ptył i adapterów wprost zatrzesienie! Wesoło się żyje, lud pracujący chce słuchać muzyki, a igiełek brak! A ja dostarczam swoje igielki — może działam na szkodę kraju? Czy to moja wina, że u nas brak igieł?!

— Dlaczego więc nie wystąpisz z propozycją w tej sprawie? Dlaczego nie udowodnisz, że w twoim zakładzie można produkować igły?

— Juriju Michajłowiczu, mój drogi, skąd wytrzańiesz dla mnie na ten cel sto czterdzieści tysięcy? Przeżegnaj się! Sam przecież masz związane ręce...

— Nie piłimys nigdy bruderszaftu, Pimienow, a więc bez tych familiarności.

— Poniosło mnie, Juriju Michajłowiczu, przepraszam! Czy mam mówić dalej?

Z odpadów, które tak czy owak spisałem na straty, na szlifiarkach, co i tak pół dnia stoją bez pożytku, na własne ryzyko wypuściłem dziesięć tysięcy próbnych igieł do adapterów. Moi tokarze robią części do główek, na wiertarkach skrawają masę plastyczną, a pewien facet szlifuje kamienie. Czysty zysk, dla nas obu i dla niego — po dwa patyki. Oto one, proszę, nie musicie się podpisywać, całkiem jak na giełdzie.

— Dość, drzwi nie są domknięte! — Są. Zatrzasnąłem je, gdy wchodziłem.

Proskuriakow schował pieniądze do kieszeni i powiedział:

— W sprawie igieł przygotuj pismo. Uruchomimy produkcję na skalę krajową.

— Wedle rozkazu, Juriju Michajłowiczu. Ale najpierw prośba do was jako do szefa firmy.

— Jakiej znów firmy?

— Naszej.

— Ot co, Pimienow. Nie chcę słyszeć o żadnych firmach!

— Jak nie, to nie. W pewnej jednak sprawie ogromnie liczę na waszą pomoc, Juriju Michajłowiczu. Macie do czynienia z górą, trzeba wywieźć się w Komisji Planowania, co zamierzają na ten rok, a z czym chcą poczekać. Oto lista. — I Pimienow podsunął Proskuriakowowi karteluszek z nazwami towarów, na które istniał największy popyt, zwłaszcza w sklepach gospodarstwa domowego.

— Wsadzą cię za kratki — z przekonaniem stwierdził Proskuriakow, gdy już zapoznał się z listą. Zwrócił ją Pimienowowi i powtórzył: — Ani chybi wsadzą.

— W żadnym razie. O tym, co robię, nie rozgłaszam w gazetach, Juriju Michajłowiczu. A gdy przyjeżdżają do mnie dziennikarze, wyłączam im o ludziach dobrej roboty. Pracuje ze mną taki jeden, ale o nim nawet się nie zająknę, choć tak kamienie szlifuje, że niech się wszyscy przodownicy schowają. Natbandow, pamiętacie go?

— Z kontroli technicznej?

— Tak!

— A jak upłyniesz towar?

— Mój szwagier kieruje sklepem w Moskwie. I to wszystko. Z nikim więcej się nie zadaję. Jakże mogę wpaść? Nie jestem głupi, łapówek nie biorę. Szanuję też komisję do zwalczania przestępstw gospodarczych — i pozbywam się towaru małymi partiami.

— Na ilu specyfikacjach?

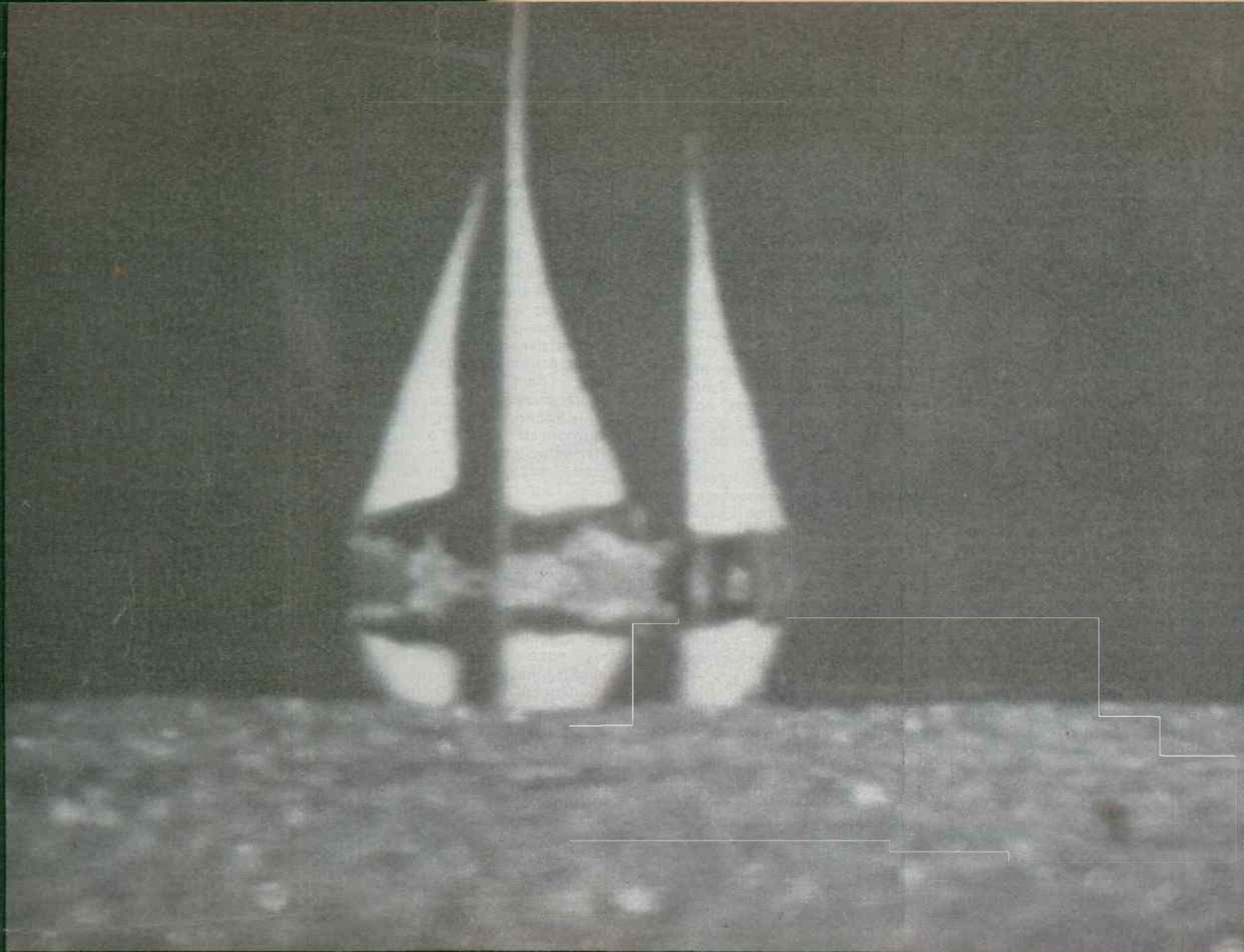
— Dlaczego? Główni do adapterów to nasza eksperymentalna produkcja. Po tysiąc sztuk na kwartał. A robimy ich trzydzieści tysięcy. Są specyfikacje. — Pimienow zapalił całkiem rozkruszonego siewiera, wyciągnął z teczki następny karteluszek i potożył go przed Proskuriakowem. — Oto podanie o zwiększenie funduszu płac. Tęgo nie da się odkładać, Juriju Michajłowiczu. Muszę ludziom dobrze płacić, żeby nie było żadnych skarg. Przez niezadowolonych i pokrzywdzonych zawsze najwięcej ambarasu.

— Zarejestruj to u radcy prawnego i w dziale płac.

Pimienow przecząco pokręcił głową.

— Nie, Juriju Michajłowiczu. Z waszym podpisem prędko mi to zatłwią. Inaczej zaczną zwłóczyć, a tu, jak to się mówi, czas nagli.

CIĄG DALSZY NASTĄPI



Gdy nagle wśród piasków pustyni roziskrzy się tafla jeziora lub kiedy z fal oceanu wyłoni się niespodzianie łańcuch niebotycznych gór, nie mamy wcale do czynienia z cudem, ale ze zwykłym optycznym złudzeniem. Jest to po prostu...

FATA MORGANA



Na obydwu zdjęciach — fata morgana tego samego promu, którego obraz zmienia się w zależności od temperatury i gęstości powietrza
Zdjęcia: ARC

Swą nazwę zawdzięcza to optyczne kuriozum wrocławskiemu imieniem Morgan, siostrze legendarnego króla Artura, która ponoć posiadała zdolności budowania zamków w powietrzu.

Tyle że zamki, oazy i okręty ukazujące się czasem zdumionym wędrowcom i podróżnikom nie są wcale złudami, ale odbiciem obiektów naprawdę istniejących.

Dwumasztowiec na naszym zdjęciu (powyżej) zda się wisieć w powietrzu, a razem z nim jego odbicie w lustrzanej tafli Pacyfiku. Obraz utrwalony został przez amerykańskiego fotoreportera Alistaira B. Fräsera. Okazał się on jednak tylko mirażem żaglowca, który gdzieś tam płynął po dalekim oceanie.

Po raz pierwszy opisał taki złudny obraz Gaspard Monge, francuski matematyk, jeden z uczestników wyprawy Napoleona do Egiptu w 1798 roku:

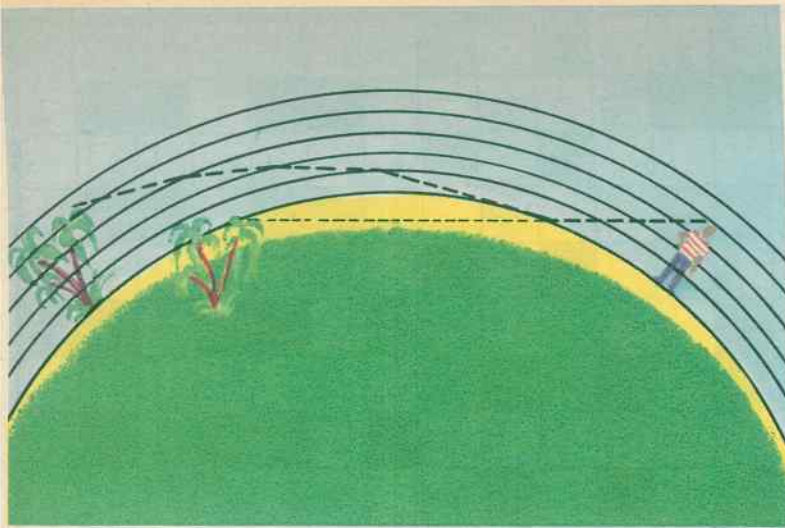
„Gdy o zachodzie słońca ziemia zaczyna stopniowo stygnąć zwykły pejzaż zmienia się nie do poznania. Miejsce pustynnej równiny zajmuje połyskliwa tafla jeziora. Dalekie drzewa przybierają kształty wielkich wysp, a wieś ukazuje swój obraz odwrócony, drżący i niewyraźny, jak odbicie wody poruszone lekkim wiatrem. Gdy jednak zaintrygowany widz próbuje się zbliżyć do

owej wsi objętej „powodzią”, brzeg domniemanego jeziora usuwa się, pas wody maleje, aż znika zupełnie”.

Miraże, podobne do opisanego przez Monge'a, występują najczęściej — jakby przez złośliwość przyrody — w krajach o gorącym i suchym klimacie. Dawnymi czasy, gdy ludzie nie zawsze jeszcze umieli odróżnić omamienia od rzeczywistości, skutki takich złudzeń bywały tragiczne. Iluż to spragnionych wędrowców, na widok kuszącej tafli wody, zbaczono ze szlaku i ginęło wśród piasków pustyni. Niestety, choć wędrowali długie godziny, upragniona woda znajdowała się stale w tej samej odległości.

Miraże nie powstają jednak wyłącznie tylko w strefie gorącej. Zaobserwować je można także w strefie umiarkowanej, naturalnie przy sprzyjającej pogodzie.

Pochodzenie tego typu mirażu nie jest wcale zagadkowe i da się łatwo wytłumaczyć. Od nagrzanego słońca ziemi rozgrzewa się dolna warstwa powietrza i zmniejsza swoją gęstość. Ciepłe powietrze ucieka więc w górę, a jego miejsce zajmuje warstwa zimnego, cięższego powietrza. Cykl ten powtarza się ciągle od nowa. Zgodnie ze znanym prawem fizycznym, promienie świetlne odchylają się od warstwy ciepłego powietrza w kierunku zim-



nego. Nietrudno więc zrozumieć, że promienie biegnące od jasnego nieba w dół ku ziemi, odchylając się od niej na pewnej wysokości i trafiają do naszego oka jak gdyby odbite od czegoś znajdującego się tuż nad ziemią.

Oto, jak w prosty sposób wytłumaczyć by można powstanie mirażu pustynnego, zwanego również wodnym lub dolnym. Na rysunku widać promień światła biegnący od grupy palm. Zmienia on stopniowo swój kierunek (zgodnie z prawem fizycznym) i pada na najniższe warstwy powietrza. Tu, nie załamując się lecz ulegając całkowitemu wewnętrznemu odbiciu, biegnie do oka obserwującego, wywołując w nim obraz pozorny.

Miraże obserwuje się jednak nie tylko na pustyniach, ale również na morzach, oceanach i w miejscowościach nadmorskich. Mieszkańcy Lazurowego Wybrzeża we Francji widzą czasem w pogodny chłodny ranek tańczących górski wznoszący się na bezkresnym zwykle horyzoncie Morza Śródziemnego. To nie są góry prawdziwe, a fata morgana — odbicie odległego o 200 km tańcuha górskiego Korsyki, z wyraźnie odbijającym się najwyższym jego szczytem Monte Cinto. Tu i ówdzie pojawiają się czasem na pogodnym niebie nieznanne krajobrazy z zamkami, gajami, ale nawet całymi miastami. Te dziwne obrazy są nietrwałe i złudne, jak dwumasztowiec na naszym zdjęciu.

Niezwykła przygoda z taką właśnie fatą morganą, polegającą na refrakcji, zdarzyła się samemu zdobywcy Bieguna Północnego Robertowi Peary. W czasie jednej z wcześniejszych wypraw, pozostawiwszy za sobą północny cy-

pel wyspy Axel Heiberga, zanotował z entuzjazmem: „Widzę pokryte śniegiem i lśniące w słońcu szczyty gór. A więc już parę tylko dni dzieli nas od tego historycznego zdarzenia”. W rzeczywistości był oddalony od celu jeszcze o 120 mil, zaś „ziemia” którą widział nie istniała. Była zwykłą złudą.

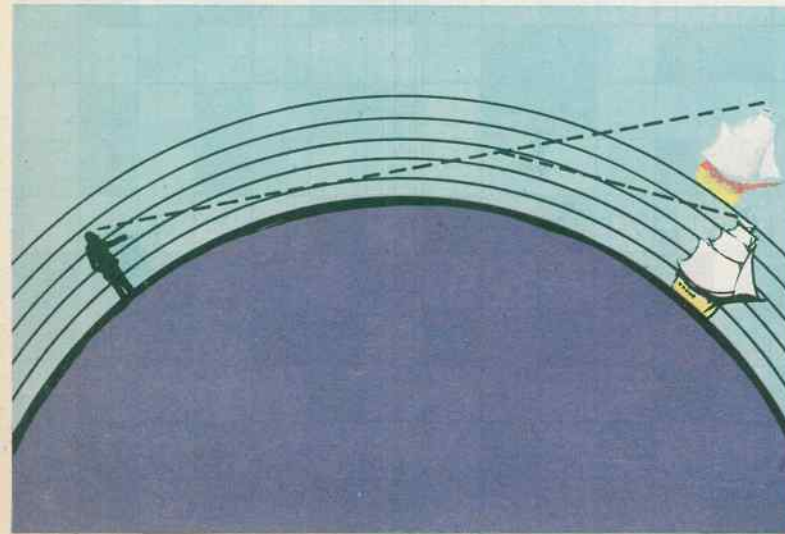
Takie zjawisko jest odmianą dobrze znanej astronomom refrakcji — załamania się światła w atmosferze ziemskiej, wskutek czego powstaje złudzenie, że ciała niebieskie umieszczone są wyżej, niż to jest w rzeczywistości.

Fata morgana ukazująca odbicie górne (na niebie), występuje najczęściej wtedy, gdy nad cieplejszą powierzchnią wód zalega warstwa zimnego powietrza. Dlatego właśnie w chłodny ranek nad Lazurowym Wybrzeżem dostrzec można wyłaniający się nagle z wody szczył Monte Cinto, choć wcale go tam nie ma. W tym przypadku (widzimy to na naszym drugim rysunku z żaglowcem) całkowite wewnętrzne odbicie przychodzi od górnych warstw powietrza, które ma tu mniejszą gęstość od powietrza znajdującego się nad powierzchnią wody.

* * *

W taki oto sposób obnażyliśmy fatę morganą z całej jej niezwykłości. Okazuje się po prostu, że różne gęstości powietrza i różne wartości współczynnika załamania światła pozwalają zajrzeć poza geometryczny horyzont. Choć przyznać trzeba, że są to obrazy tak niezwykle, że aż trudno uwierzyć w ich prozaiczną zwykłość.

W.S.



przy nowym telewizorze - zimowy wieczór krótszy

NOWE WARUNKI
RATALNEJ SPRZEDAŻY
telewizorów CZARNO-BIAŁYCH!

tylko do końca tego roku
banki udzielają kredytu bezzwłocznie!

ODBIORNIKI 24-calowe

OT 6101-20	cena	8.800,-
NEPTUN 624	cena	8.800,-
OT 6105-20	cena	9.000,-
OT 6102-20	cena	9.000,-
OT 6123	cena	9.000,-
TAURUS 23	cena	9.000,-
OT 6109-20	cena	9.500,-

NEPTUN 626	cena	9.500,-
NEPTUN 625	cena	11.100,-

ODBIORNIKI 20-calowe

NEPTUN 424	cena	6.500,-
OT 5005-20	cena	6.700,-
ANTARES 23M		
	cena	6.700,-
NEPTUN 426	cena	7.500,-

10% WPLATA GOTÓWKOWA
24 RATY MIESIĘCZNE
10-15% bonifikaty za zwrot
starego odbiornika

szeroki asortyment telewizorów czarno-białych
czeka na Ciebie w specjalistycznych sklepach
PAŃSTWOWEGO HANDLU WEWNĘTRZNEGO

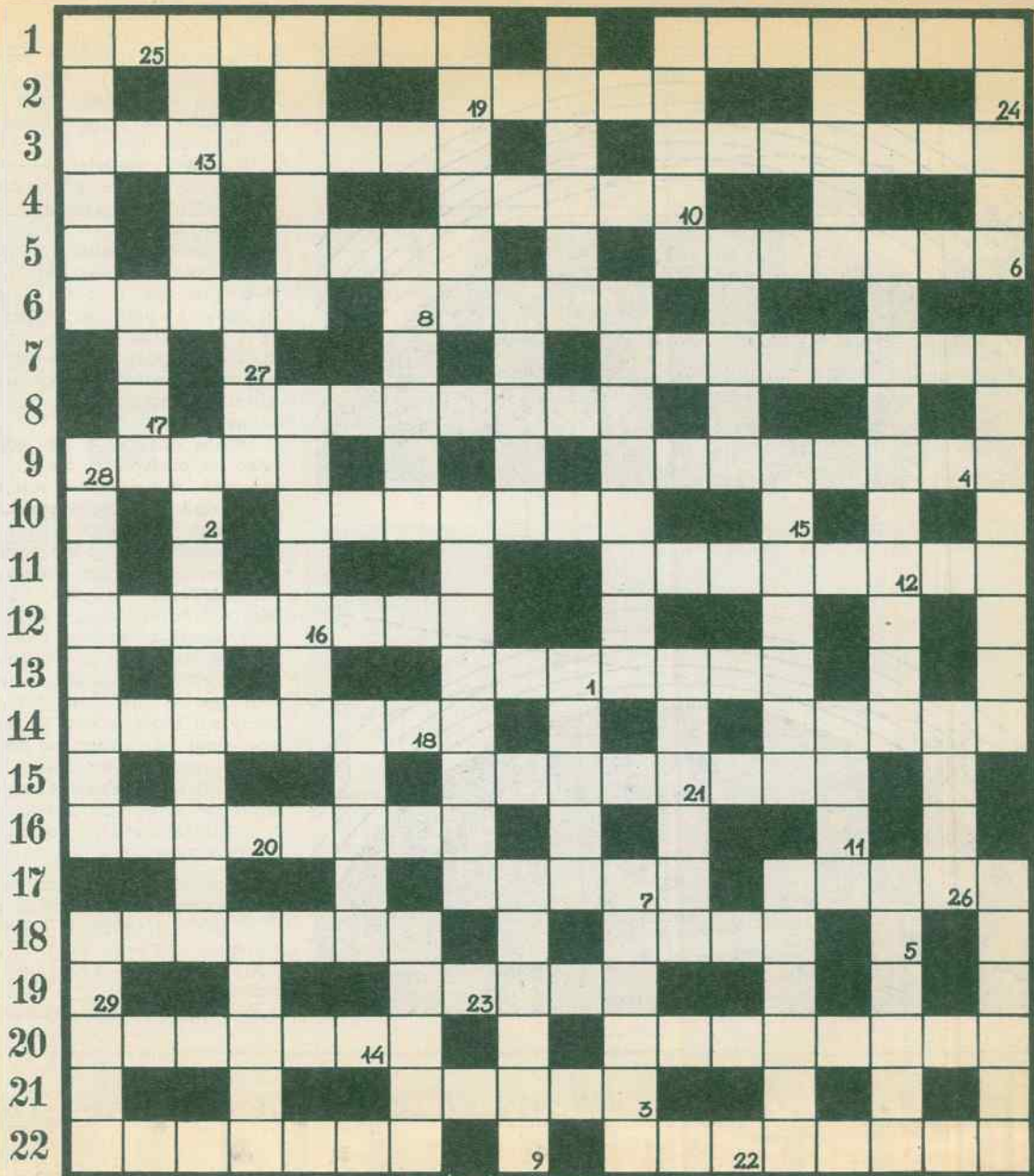
7383 kr



KRZYZOWKA (49)

POZIOMO: 1 — białen Zygmunt I Starego • największy rzeźbiarz grecki okresu klasycznego (V w. pne.) • 2 — do odwołania • 3 — królestwo z fiordami • kurator nieletnich • 4 — jedna gwiazdka i dwie belki • 5 — ostre zaburzenie świadomości występujące u Malajów • tkanina pochodząca z Indii • 6 — tępak • prowizorka dla budowlanych • 7 — pełna studentów • 8 — służy do pomiaru gęstości cieczy • 9 — odkorowany pień • podobieństwo • 10 — rozprawa naukowa na piśmie • 11 — wyciąg • 12 — elastyczny materiał o splecie oczkowym • 13 — taki „do wzięcia” • 14 — sztab instytucji • miasto w pld. Turcji • 15 — trudne, niemiłe sytuacje • 16 — potężna warownia • 17 — skok w bok • 18 — podstawa pożywej zupy • 19 — żartobliwa rymowanka • los, położenie • 20 — brydżowy sukces • 21 — odmiana języka • nieprzemakalna tkanina ze sztucznego włókna • 22 — Podhalański nad Skawą • 23 — wtargnięcie nieprzyjaciela na obce terytorium • dawna gospoda, zajazd •

PIONOWO: 1 — przesadnie poważny mędrzek • chętny na stanowisko • grupa wysp koralowych i wulkanicznych na Pacyfiku (Melanezja) • 2 — letni skwar • 3 — w środku domu starożytnego Rzymianina • ma osiem nóg-ramion • 4 — leży nad Maruszą • rzymski wódz, optymat (138-78 pne.) • zastosował na wielką skalę proskrypcje • 5 — laska taternika • reakcja na SOS • 6 — ekscentryk, oryginał • 7 — psu na szyję • silne napady duszności • 8 — rączka przy zamku • wulkan między Sumatrą a Jawą • 9 — „ptasi” jest rośliną leczniczą • żużel wielkopieczowy • 10 — krewniaczka siewek o płaczącym głosie • kończy proces • 11 — nieproszona, uciążliwa opieka • odrzucenie propozycji lub prośby • 12 — rośliny ogółem • nieduże miasto w woj. radomskim • 13 — uchodzi do Bugu • 14 — pisze książki • średniowieczny wędrowny śpiewak • 15 — życzenia przyjmowała w październiku • nigdy nie zakuwano w nie ręce i nogi więźniów • 16 — dzieło o wszystkim na ten temat • bratanek i do szabli i do szklanki • 17 — jedna na pięciolinii • 18 — najwyższy punkt na sterze niebieskiej • kłótnia, burda • choć pochyla jest maszyna •



Rozwiązanie krzyżówki polega na odgadnięciu hasła, na które składają się litery oznaczone liczbami umieszczonymi w prawym dolnym rogu niektórych kratki. W nadesłanym rozwiązaniu należy podać

odszyfrowany tekst bez wyrazów krzyżówki. Hasło prosimy nadsyłać w terminie trzytygodniowym od daty numeru, pod adresem redakcji: 40-926 Katowice, skr. poczt. 335 z dopiskiem: Krzyżówka nr 49. Na

zwycięzców losowania czeka 10 nagród książkowych. Za prawidłowe rozwiązanie krzyżówki nr 44 nagrody książkowe otrzymują:

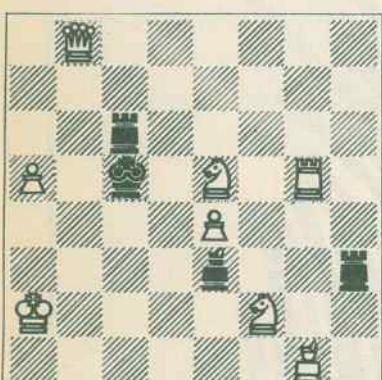
Zdz. Grochowski, Staszów; St. Sadowski, Lublin; J. Skrobaccki, Inowrocław; K. Biłski, Trzebież; H. Rudzińska, Pasym; Zb. Mirowski, Brzeszcze; P. Muszyński, Słupsk; A. Janicki, Warszawa; A. Smoliński, Toruń; R. Bednarski, Bolesławiec.

SZACHY

B. P. Barnes

(II nagr. „B.C.P.S. Ring tourney” 1959 r.)

ZADANIE NR 49



Mat w 2 posunięciach

Rozwiązania prosimy nadsyłać w terminie trzytygodniowym od daty numeru pod adresem redakcji: 40-926 Katowice, skr. poczt. 335 (z dopiskiem SZACHY). Wśród Czytelników, którzy nadesłają prawidłowe odpowiedzi rozlosujemy jak zwykle 4 nagrody książkowe.

ROZWIĄZANIA ZADAŃ

Nr 42 (pozycja z partii Korkhao — Sah). Nie widząc już możliwości ratunku „bezideowo” 1.Kd8 i po 1...S:c5 2.Ke8 Se6 szybko przegrały, mogły być natomiast wykorzystane siły swych zaawansowanych pionków i zremisować za pomocą 1.h8H+!! K:h8 2.Kf7! Sg5+ 3.Kf8 i „wieczna” groźba g6-g7+—g8H praktycznie uniemożliwiła czarnemu królowi i skoczka i zmuszała czarne do powtarzania posunięć i dania wiecznego szacha.

Nr 43 (M. Drozdik, 2 X) 1.f4!
Nr 44 (W. Radziuk, 2 X) 1.Wd8! Trudny, efektywny wstęp, niezła konstrukcja — bez białych pionków.

KOLEJNA LISTA NAGRODZONYCH

Za prawidłowe rozwiązanie zadań w naszym niestającym konkursie nagrody książkowe w drodze losowania otrzymują:

Za zadanie Nr 37: H. Rutka, Wrocław; J. Begliński, Bielsko-Biała; C. Mrozicki, Sławno i J. Kosierb, Częstochowa.

Za zadanie Nr 38: M. Góraj, Szczecin; J. Ciupka, Polkowice; G. Grabowski, Boguszów-Gorce i W. Kazimierczuk, Żary.

Za zadanie Nr 39: H. Borkowicz, Szczecin; R. Leder, Ruda Śl., R. Bieganowski, Dobrzyń i T. Wolsza, Wrocław.

Nagrody wysyłamy jak zwykle pocztą w najbliższych dniach.

* * *

Hartston — Bellin,

W pewnej partii granej niedawno w Londynie już po 20 posunięciach czarnych doszło do nieczęsto w tak wczesnym stadium oglądanej lekkofigurowej końcówki: białe — Kf1, Ge3, Sc4, Sf3, p: a4, b2, c3, e4, f2, g3 i h2, czarne — Kf7, Gf8, Sd8, Se7, p: a5, b6, c7, e5, f6, g6 i h7.

Przewaga białych — „lepszy” gońiec i nieco aktywniej grające figury — ma raczej akademicki charakter, Hartston próbował jednak coś konkretnego z pozycji wycisnąć, na razie drogą manewrów: 21.Se1 Sc8 22.Ke2 Ke6 23.Sd3 Sc6 24.Kd2 Ge7 25.f3 Gf8 26.Kc2 Ge7 27.Gf2 Gf8 28.Se3 S8e7 (zapobiega 29.Sd5) 29. Sc4 Sc8 30.g4 Gd6 31.Kb3 Gf8 32. f4! (silny ruch: po 32...e:f4 33.S:f4+ i 34.Sd5 mają czarne wiele słabości do obrony, w przeciwnym razie pionek przejdzie na f5) 32...Gh6 33.f5+ (słabsze 33.Ge3 wobec 33...e:f4 34. G:f4 Se5!) 33...g:f5 34.g:f5+ Kf7 35. Kc2 Gf8 (groziło przykre 36.b4) 36. Ge3 Ke8 37.Sf2 Sd8 38.Sd3 Sc6 39. h4 Kd7 40.Sf2 Ke8 41.Sd3 Sd8 42. Sg4 Ge7 (ale nie 42...Kf7? 43.S:f6! K:f6 44.Gg5+) 43.Gd2 Sb7 (na 43... Sc6 planowały białe 44.b4) 44.b4!

(ale i teraz jest to możliwe: po 44.a:b4 45.c:b4 z dalszym a4—a5 wolny oddalony pionek „a” stałby się groźną siłą) 44...c6 45.h5 Gd8 46.Ge1 Kf7 (albo 46...a:b4 47.c:b4 b5 48.a:b5 c:b5 49.Sce3 ze wzrastającym naciskiem białych).

Ważny moment krytyczny: mając już dosyć pozycyjnego manewrowania (co nawiasem mówiąc było właściwą drogą) białe zdecydowały się na ofiarę skoczka 47.Sg:e5+?! f:e5 48.S:e5+, pragnąc zdobyć za niego jeszcze trzeciego pionka (c6) i... zasadniczo zmienić charakter pozycji. Z praktycznego punktu widzenia pomysł okazał się znakomity: zaskoczony takim obrotem sprawy Bellin natychmiast (!) popełnił rozstrzygający błąd — 48...Ke8? Po aktywnym 48...Kf6! 49.S:c6 Kg5! losy partii — jak słusznie stwierdza Hartston — byłyby jeszcze niejasne; teraz walka kończy się szybko: 49. S:c6 Gg5 50.e5 Se7 51.S:e7 Ge7 (nie ratowało i 51...K:e7 52.Gf2 itd.) 52.Kc4 Kd7 53.Kd5 Sd8 54.e6+ Ke8 55.Gf2! a:b4 56.c:b4 G:b4 57.G:b6 Sb7 (groziło oczywiście 58.a5) 58. f6 Gc3 59.Kc6 G:f6 (rozpacz; po 59...Sd8+ 60.G:d8 K:d8 61.f7 Ke7 miały białe w zanadru piękny wariant 62.f8H+! K:f8 63.Kd7 Gb4 64. a5 i jeden z pionków awansuje) 60. K:b7 Gc3 61.Kc6 (najprostsze) i czarne poddały się. (GIES)

6	11	2	17	21	12	5		16	21	7	1	22	1	8
W	E	D	K	A	R	Z								
15		13		22		6	2	21		3		21		12
5	3	18	1	25	14	21		25	24	8	3	22	17	21
3		14		21		2		21		12		17		16
17	6	21	16		17	21	12	8	21		16	21	4	21
	21		5	3	6		1		20	1	8		1	
17	22	1	9		21		2		21		12	24	18	1
	14		5	21	8	12	5	21	16	17	21		14	
24	5	2	21		3		14		5		23	13	8	1
	17		20	1	12		9		17	12	21		6	
10	21	7	21		21	2	3	22	21		17	6	21	16
14		24		24		14		21		26		14		5
22	14	22	14	19	17	21		24	25	12	21	18	14	3
14		21		7		18	3	12		24		2		20
20	1	8	12	21	6	21		21	18	8	12	21	17	8

ARYTMOKRZYŻÓWKA

Wiedząc, że jednakowym liczbom odpowiadają identyczne litery, należy ułożyć krzyżówkę. Dla ułatwienia jeden wyraz został wpisany w diagram.

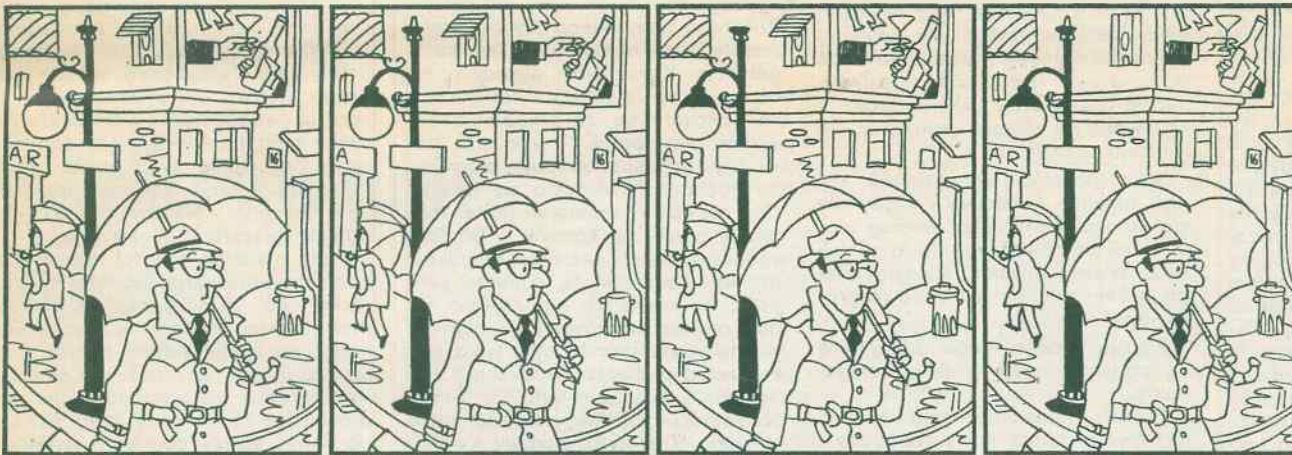


Redaguje:
**WIESŁAW
T. ZIELIŃSKI**

	24		20	
4		25		16
	5		21	
10		1		22
	6		2	

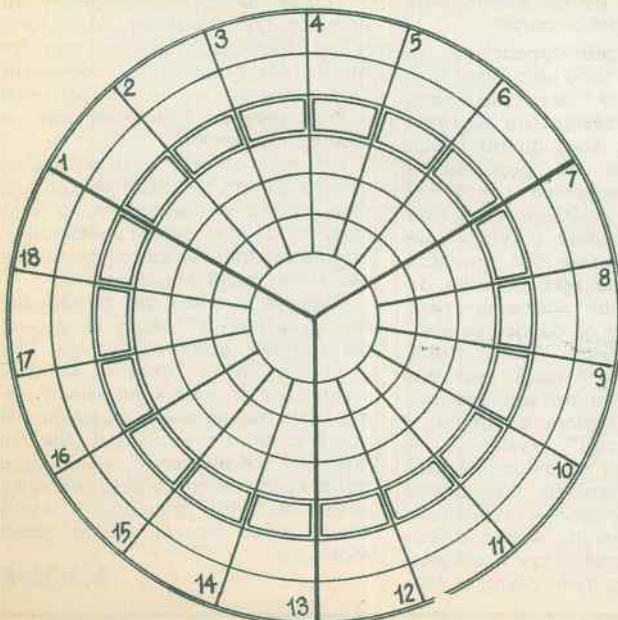
ZAWSZE 65

Liczby od 1 do 25 można rozmieścić w polach figury tak, że suma ich, we wszystkich rzędach poziomych, pionowych oraz na obu przekątnych da wynik 65. Dla ułatwienia dwanaście liczb znajduje się we właściwych polach.



JESIENNA SŁOTA

Obrazek drugi, trzeci i ostatni różnią się od pierwszego, choć są do siebie ładząco podobne. W każdym z tych obrazków (od 2 do 4) występuje taka sama ilość różnic, za każdym razem innych. Szukaj, a znajdziesz.



LOGOGRYF KOŁOWY

Po wpisaniu w diagram 18 odgadniętych wyrazów, litery w polach oznaczonych ramką, czytane kolejno utworzą tytuł książki pisarza zachodnioniemieckiego. Ostatnie litery sześciu kolejnych wyrazów są identyczne.

ZNACZENIE WYRAZÓW:

1) wytwórca kukietek, 2) producent chleba, 3) krztusiec, 4) najważniejszy w restauracji, 5) sos z żółtek ucieranych z oliwą, 6) pracownik kontroli jakości, 7) rysuje Filutka, 8) przewodniczący Rady Adwokackiej, 9) miasto graniczne nad Olzą, 10) państwo nad Zatoką Gwinejską, 11) brat polski, 12) substancja uczulająca, wywołująca alergię, 13) absolwent średniej szkoły zawodowej, 14) paczka, 15) propozycja, 16) bufor, 17) marki „Longines”, 18) basen dla dzieci.

23	6	19	2	15
10	18	1	14	22
17	5	13	21	9
4	12	25	8	16
11	24	7	20	3

JESIENNA SŁOTA: Rys. 2 — brak: kieliszka, litery R, pokrywmy na pojemniku na śmieci, prawego naramiennika, rączki parasola i końcowego odcinka paska. Rys. 3 — brak: końca kija paradyku, paska na rękawie, wsłazki na kapełuszku, szczytowego fragmentu latarni, numeru busola, szczytowego fragmentu latarni, numeru busy, paska na rękawie, wsłazki na kapełuszku, małej kaptury przed pojemnikiem na śmieci. Rys. 4 — brak: daszka nad oknem, elementu ozdobnego na latarni, pęknięcia tyłku nad parasolem, jednej ramy okiennej, tęczki pod pachą i szwu pla-

LOGOGRYF KOŁOWY: „Lekcja niemieckiego”. ARYT-MOKRZYŻÓWKA: 1-O, 2-D, 3-E, 4-G, 5-Z, 6-W, 7-M, 8-T, 9-C, 10-F, 11-E, 12-R, 13-Y, 14-I, 15-O, 16-S, 17-K, 18-N, 19-J, 20-P, 21-A, 22-L, 23-Z, 24-U, 25-B, 26-S

ROZWIĄZANIE ROZRYWEK
UMYŚLOWYCH:

RADIO POLECA:

4. XII
godz. 20.15
pr. 4
KONCERT ORKIESTRY SYMFONICZNEJ RADIA JAPONSKIEGO pod dykcją Günthera Wicha (RFN). W programie utwory: Georga Friedricha Haendla, Wolfganga Amadeusza Mozarta, Ludwika van Beethovena. Wersja stereofoniczna.
4. XII
godz. 19.35
pr. 3
OPERA TYGODNIA — Georg Friedrich Haendel „JULIUSZ CEZAR” — opr. Ewa Obniska, wyk. Maureen Forrester, Norman Treigle, Beverly Sills, Beverly Wolf. Chórem i orkiestrą New York City dyryguje Juliusz Rudel.
6. XII
godz. 17.20
pr. 2
TEATR PR — „PORFIRION OSIOŁEK” — słuch. wg tekstu Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego opr. rad. i reż. Zbigniewa Kopalki, muzyka Zbigniewa Turskiego.
7. XII
godz. 22.40
pr. 2
„DOM W KAZIMIERZU” — audycja poświęcona Marii Kuncewiczowej w opr. Marii Brzezińskiej.
8. XII
godz. 19.30
pr. 2
Transmisja koncertu Wielkiej Orkiestry Symfonicznej PR i TV z sali Radiowego Domu Muzyki im. Grzegorza Fitelberga w Katowicach. Wyk. Bożena Kinasz-Mikołajczyk — sopran, oraz Wielka Orkiestra Symfoniczna PR i TV w Katowicach pod dykcją Jacka Kasprzyka. W programie utwory Mozarta i Mahlera. Komentarz Marek Wallek-Walewski.
9. XII
godz. 9.30
pr. 2
TEATR PR — „KOMEDIA KONKURSOWA” — słuch. wg komedii Adama Asnyka, opr. rad. Romany Belczyk, reż. Romany Belczyk i Józefa Grotowskiego, opr. muz. Anatola Zarubina.
10. XII
godz. 16.05
pr. 1
TEATR PR — „NIEWCZESNE ZALOTY” — słuch. wg arabskiej baśni „Kadi oszukany” ze zbioru „Baśnie z 1001 nocy” adapt. Lecha Emfazego Stefańskiego — reż. Zbigniewa Kopalki.
10. XII
godz. 12.25
pr. 3
MUZYKA Z SAL KONCERTOWYCH — Capella Cracoviensis podczas „Dni Muzyki Polskiej w NRD”.



MARIA
KUNCEWICZOWA



ADAM
ASNYSK

TELEWIZJA POLECA:

4. XII
godz. 20.30
pr. 1
TEATR TELEWIZJI: Fernand Crommelynck — „ROGACZ WSPANIAŁY”, reż. Stanisław Hebanowski, wyk. Joanna Bogacka, Krzysztof Gordon, Irena Maślińska i inni. Studium zazdrości. Tragigroteska.
5. XII
godz. 17.55
pr. 1
„SONDA” — „PO DRUGIEJ STRONIE EKRAŃU” — prezentacja najnowszych osiągnięć techniki telewizyjnej.
6. XII
godz. 20.30
pr. 1
KINO INTERESUJĄCYCH FILMÓW — „OS-TATNI KOWBOJ” — western prod. USA — reż. David Miller, w roli gł. Kirk Douglas. Bohater filmu reprezentujący romantyczne tradycje Dzikiego Zachodu usiłuje bronić wzorców osobowych minionej epoki.
7. XII
godz. 20.30
pr. 1
„NIECH BESTIA ZDYCHA” — film kryminalny prod. francuskiej, reż. Claude Chabrol. Ojciec 9-letniego chłopca zabitego w wypadku drogowym postanawia na własną rękę odszukać mordercę...
8. XII
godz. 20.30
pr. 1
„FORTEPIAN W POWIETRZU” — komedia prod. węgierskiej, reż. Peter Bacso. Farsa satyryczna, której treścią jest konflikt pianisty i jego sąsiadów zmęczonych ćwiczeniami artysty.
8. XII
godz. 20.30
pr. 2
WOKOŁ STADIONÓW — mistrzostwa świata w piłce ręcznej kobiet. Transmisja z Pragi.
9. XII
godz. 20.30
pr. 1
„POWRÓT REWOLWEROWCA” — western prod. USA, reż. James Nilson, wyk. Robert Taylor, Chad Everett, Ana Martin i inni. Starzejący się rewolwerowiec spieszy z pomocą swojemu przyjacielowi — meksykańskiemu farmerowi.
9. XII
godz. 22.55
pr. 2
OPERA MIESIĄCA: Giacomo Puccini — „MADAME BUTTERFLY” — cz. 1, filmowa wersja słynnej opery w reżyserii Jean Pierre Ponelle'a, pod kierownictwem muzycznym Herberta von Karajana.
10. XII
godz. 12.35
pr. 2
TYLKO W NIEDZIELĘ — BLOK PROGRAMOWY
10. XII
godz. 13.20
pr. 1
„PRZERWANA PIEŚŃ” — film prod. bułgarskiej — reż. Irina Aktaszewa i Christij Piskow. Film ukazuje narodziny władzy ludowej w Bułgarii przez pryzmat przeżyć 18-letniego chłopca.



JOANNA
BOGACKA



HERBERT
VON KARAJAN

Odkrywanie teatru



Zdjęcie: W. Plewińska

BARBARA BOSAK

BARBARA BOSAK, aktorka Starego Teatru w Krakowie w ciągu wielu lat pracy na tej pięknej scenie zdobyła nazwisko, przychylność i sympatię widzów.

— Skąd wzięła się u pani odwaga podjęcia tak trudnego dla kobiety zawodu?

— Decydując się na studia teatralne niewiele wiedziałam o zawodzie aktorskim. Byłam wtedy zafascynowana poezją i wybór studiów wydawał mi się jak gdyby gwarancją dalszego i profesjonalnego obcowania z poezją. Świadomość, że w aktorstwie potrzebna jest cierpliwość, odporność, a nawet odwaga — przyszła dopiero po latach.

— Jak pani wspomina okres studiów?

— Jako sumę radosnych i pełnych emocji prób odkrywania teatru, naznaczoną moją nieśmiałością, brakiem wiary w siebie i oporami w tzw. otwarciu się, w uzewnętrznianiu swoich stanów — tak niezbędnych w tym zawodzie.

— Pierwsza rola.

— Zaczęłam od grania w komediach i to postaci chłopców. Trwało to dobrych parę lat, potem dopiero weszłam w repertuar romantyczno-klasyczny i trwam w nim do dziś, z nielicznymi wyjątkami.

— Mandula w „Zawiszy Czarnym” w reż. J. Golińskiego, Andromacha w „Trojankach” w reż. B. Hussakowskiego, Diana w „Fantazym”, w reż. K. Swinarskiego, Pallas Atena w „Nocy listopadowej” w reż. A. Wajdy i tu muszę się zatrzymać, gdyż rola ta została przez panią nie tylko pięknie zagrana, ale pięknie zaśpiewana mimo trudnej muzyki Z. Koniecznego — oto role z wielkimi tradycjami, z repertuaru o dużym ciężarze gatunkowym, które tworzą aktorskie biografie. Jeśli aktor się w nich sprawdzi, dostępuje pełnej nobilitacji zawodowej. Ale czasem także...

zaszłakowania. Na szczęście reżyserzy widzą panią i w Różewiczu (Pelasia w „Na czworakach” i w Brechcie (Jenny w „Operze za trzy grosze”). Pani stosunek do granych postaci?

— Trudno to generalizować, ale w przeważającej części niezmiernie dociekliwy, analityczny, z „dopisywaniem” przez siebie życiorysu granej postaci, w celu uwierzytelnienia i wytłumaczenia jej racji i reakcji.

— Czy, aby dobrze zagrać, trzeba polubić postać?

— Raczej zrozumieć ją i jej postępowanie. Zdarza się przecież, że role nie lubiane, grane wbrew sobie i z wielkimi oporami, wychodzą aktorowi lepiej od tych lubianych.

— Nie chciałabym pominąć tematu telewizji, choć z konieczności jest on tematem marginesowym dla krakowskich aktorów. Do ostatnich zapamiętanych pani ról należą: pani Diederich w „Skandalu w Hellbergu” J. Brozskiewiczza i Sonia w „Płatonowie” A. Czechowa, a na emisję czekają: recital songów Brechta w pani wykonaniu i sztuki „Cathlen córka Haulihana” W. B. Yetsa (rola Starej) oraz „Oszczęstwo” Ion L. Caragiale (rola Anki). Jak na skromny udział krakowskiej TV w ogólnopolskim programie wcale niemało! Jaką sumę wyrzeczeń płaci pani za zawodowe sukcesy?

— Mówiono już na ten temat szeroko i niejednokrotnie, nie chciałabym się więc powtarzać. Najbardziej zależy mi na tym, aby mój syn nie odczuł boleśnie egocentryczności mego zawodu, aby pogodzić obowiązki matki z obowiązkami aktorki.

Rozmawiała: ALINA BUDZINSKA



STĘBNOWANE

Takie stębnowane kufajki, czy — jak kto woli — futajki, modne już są od paru sezonów. Najpierw były to propozycje na okazje wypoczynkowe i weekendowe, teraz już także na miejską ulicę. Pełna ich w żurnalach. Modelki wdziecują się w kufajkach długich i krótkich, grubych i cienkich, z brezentu i ze stylonu, wypchanych watoliną, a nawet puchem, jak na wyprawę w Hindukusz. Są także stębnowane kamizelki z tkaniny, podobnie dzianiną lub miśm.

Najnowszy szyk, to kufajki, które wyglądają jak pikowane kołdry, tyle że w ciemniejszych kolorach: fioletowym, czarnym i niebieskim. Te czarne nosi się najczęściej do sukni wieczorowych, te drugie, jako strój całodzienny. Przypominają one, jako żywo, podomki dla statecznych panów — w kolorze bordo i z szalowym kołnierzem. Być może zresztą stały one u źródła powstania tych nowych kobiecych stroików.

Są dość zabawne, więc je pokazujemy, choć u nas nie przyjęły się nawet te dawniejsze kufajki z brezentu. Widocznie nasz przemysł odzieżowy nie bardzo dowierza wytrzymałości projektantów mody w przetwarzaniu stębnowanych kufajek w coraz to nowe watowane poduszki. Chodzą wprawdzie po naszych ulicach stylone kufajki, ale chodzą już od powstania przemysłu lekkiego, jest to zresztą ciągle jeden i ten sam wzór, a właściwie — wiatrówka na watolinie przeznaczona dla osób wybierających się na zimowe wczasy. Choć panowie, zimą w mieście, chodzą często w takich wiatrówkach, zamiast płaszczy. Ale nie o takie właśnie kufajki chodzi.

A swoją drogą, coś chyba musi w tym być, że aż tak bardzo zauroczyły projektantów mody. Właściwym ich źródłem inspiracji były chyba kufajki prawdziwe, stanowiące część stroju ochronnego osób pracujących na mrozie. W tym wydaniu spełniają swoją rolę znakomicie, są poza tym dość wygodne. Może więc jest to rzeczywiście jakiś pomysł na zimowy strój?

A może projektanci pragną zaakcentować, że wprawdzie widzą tej zimy kobiecą sylwetkę nieco wyszczuploną, ale nie oznacza to wcale, że zmarzluchy muszą także chodzić w kuszach paletkach. Dla nich więc zaproponowali „pikowane kołdry”.

No cóż, warto im się przyjrzeć. Nie jest to, naturalnie, propozycja dla statecznej pani, ale dla młodych dziewczyn. Sięgnęły one w ubiegłym roku chętnie po kwieciste pikowane kamizelki, wykupując do ostatka wszystko, co przemysł zaproponował. Może więc na tej samej zasadzie pokusi się nasz przemysł odzieżowy o dotrzymanie kroku awangardowym propozycjom wielkich krawców i poszyje trochę — jeśli już nie pikowanych atlasowych kurtek, to choćby czarnych atlasowych kamizel wieczorowych. Z pewnością znajdą się na nie amatorki.

Niewiele ciekawego dzieje się w modzie. Niby tyle w niej zmian, a jednak ze stron żurnali wieje przeziębiona nuda. Pikowane kurki i kamizelki stanowią jakiś wyjątek. Może więc?

WERA SZTABOWA

Zdjęcia: Elle, Marie-Claire, Freundin



WEŁNA - STYL '78




Kr 7194



PRODUCENCI ODZIEŻY
ZPO im. dr PROCHNIKA
ZPO „CORA”

WOOLMARK – najlepsza wełna

OLIMPIJSKA STAWKA

W Czechosłowacji rozpoczyna się najważniejsza tegoroczna impreza piłkarek ręcznych – VII Mistrzostwa Świata. Dla polskich zawodniczek start w Mistrzostwach Świata jest zarazem pierwszą i ostatnią szansą wyjazdu na Igrzyska Olimpijskie. Zgodnie z regulaminem pięć najlepszych drużyn tegorocznych mistrzostw kwalifikuje się do moskiewskiego turnieju. Czy naszym paniom uda się wywalczyć olimpijskie paszporty?

PANORAMA rozmawia z trenerem kadry narodowej żeńskiej siódemki – MIECZYSLAWEM KIEGIELEM.

MIECZYSLAW KIEGIEL: — Moje podopieczne czeka niezwykle trudne zadanie. W Mistrzostwach Świata startuje 12 zespołów, które podzielono na trzy grupy eliminacyjne. Do finału awansują po dwie drużyny z każdej grupy, by następnie rozegrać pomiędzy sobą systemem „każdy z każdym” mecze decydujące o końcowej klasyfikacji. Polki znalazły się w grupie III wspólnie z reprezentacją Węgier, RFN i Kanady. W tej fazie turnieju najgroźniejszym przeciwnikiem naszych zawodniczek będzie utytułowana reprezentacja Węgier. Węgierki bowiem są brązowymi medalistkami poprzednich Mistrzostw Świata i Olimpiady w Montrealu.

PANORAMA: — Przed trzema laty startując na MŚ w Kijowie nasza reprezentacja zajęła 7 miejsce, przekreślając tym samym swoje szanse na olimpijski start w Montrealu. Obawiam się, że w Czechosłowacji historia może się powtórzyć!?

M.K.: — W dzisiejszym sporcie o sukcesie bądź porażce decydują mi-

limetry, ułamki sekund, czasami lepsza dyspozycja psychiczna danego dnia. Tych czynników jest bardzo dużo. Dlatego też mając nawet dobrze przygotowaną drużynę nigdy nie można z całą pewnością przewidzieć końcowego rezultatu. Ostateczny wynik jest sumą kilku lat pracy i składa się na niego wysiłek wielu ludzi. Dziewczeta posiadają dużo atutów, problem w tym, aby wykorzystały je w momencie decydującym o awansie.

P.: — Włączenie kobiecej piłki ręcznej do programu Igrzysk przysporzyło tej dyscyplinie sportu wielu nowych zwolenników. Jaki poziom prezentuje polska kobieca piłka ręczna?

M.K.: — Jesteśmy w gronie zespołów, które ubiegają się o premiiwane miejsca w finale olimpijskim. Dla naszej reprezentacji VII Mistrzostwa Świata rozpoczęły się już w grudniu ubiegłego roku. Żeby grać w Czechosłowacji Polki musiały najpierw uczestniczyć w turnieju, który odbył się w RFN. Zawodniczki

spisały się wtedy bardzo dobrze, zajmując w silnej konkurencji drugie miejsce. Plan minimum na tegorocznych mistrzostwach to wdrucie się do piątki najlepszych. Uważam, że drużyna stała na taki wynik.

P.: — Co stoi na przeszkodzie, żeby nasza piłka ręczna dotarła do światowej czołówki?

M.K.: — Problemów jest sporo i nie wszystkie można rozwiązać na sali treningowej. Piłka ręczna potrzebuje przestrzeni. Nasze szkolne sale gimnastyczne o wymiarach 19×9 m nie sprzyjają rozwojowi tej konkurencji. Są nieprzydatne do uprawiania sportu wyczynowego i dlatego też w szkołach młodzież częściej grywa w siatkówkę i koszykówkę, traktując piłkę ręczną jako złoto konieczne. Brak nawyków, które powinny zostać wykształcone nie w klubie, ale w czasie lekcji wychowania fizycznego — to największy mankament z jakim stykają się trenerzy klubowi podczas pracy szkoleniowej. Do tego dochodzi jeszcze niedostateczna sprawność fizyczna i braki w technice przyszłych mistrzów sportu. Osobna sprawa — to intensywność ćwiczeń w klubach. W wielu sekcjach zajmujących się piłką ręczną zajęcia są prowadzone metodami chałupniczymi. Stąd brak widocznych efektów.

P.: — Jak grają obecnie najlepsze zespoły na świecie?

M.K.: — Kobieca piłka ręczna coraz bardziej upodabnia się do gry męskiej. Decyduje mocny rzut, twarda obrona i finezja w przeprowadzanych atakach. Większość goli zdobywa się z dystansu. Żywiołowość i improwizacja ustępują miejsca dyscyplinie taktycznej. Czołowe zespoły takie jak: NRD, ZSRR, Jugostawia, Węgry, Rumunia, Czechosłowacja grają szybką długą piłkę. Prezentują przy tym nienagannie opanowaną technikę, co pozwala im skutecznie realizować założenia taktyczne.

P.: — W polskiej drużynie narodowej pojawiło się ostatnio wiele nazwisk piłkarek grających jeszcze do niedawna w kadrze młodzieżowej. Czy odwołanie drużyny tuż przed

tak ważnym egzaminem nie jest ryzykowne?

M.K.: — Zmusiły nas do tego okoliczności. Przed rokiem miałem już skompletowaną drużynę olimpijską. Okazało się jednak, że liczne kontuzje i sprawy osobiste wyeliminowały z kadry cztery czołowe zawodniczki. Musiałem szukać następczyni i rozpocząć budowę zespołu niemal od podstaw.

P.: — Ostatnim sprawdzianem przed Mistrzostwami był start drużyny w Pucharze Śląska. Turniej zakończył się zwycięstwem naszego I zespołu, gorzej było z formą jaką prezentowały szczypiomistki.

M.K.: — Start w Pucharze Śląska miał wykozać na co stać obecnie poszczególne zawodniczki oraz cały zespół. Zdaję sobie sprawę, że dziewczęta w czasie turnieju popełniły wiele błędów. Atakowały bez polotu i słabo grały w obronie. Były jednak momenty kiedy osiągały wyżyny swoich umiejętności. Przypomnę mecz z Czechosłowacją. Jestem dobrej myśli i uważam, że po wyeliminowaniu błędów i przy większej koncentracji nie powinno być źle.

P.: — Obserwując polską reprezentację doszedłem do wniosku, że brak jest w drużynie lidera. Zawodniczki, która wzięłaby ciężar gry na swoje barki. Narzuciła pewien styl i umiała pokierować zagraniami koleżanek przy szybkim ataku. Co pan o tym sądzi?

M.K.: — Do niedawna rolę lidera spełniała w zespole Anna Kostowska. Niestety, zrezygnowała z występów w reprezentacji (sprawy rodzinne). To duża strata dla drużyny. Fakt, że nie ma w zespole zawodniczki typu Kostowskiej każe szukać rozwiązania w innym wariantcie taktycznym. Na mistrzostwach świata funkcję liderki zespołu będą spełniały dwie zawodniczki. Nie mają jeszcze tak wielkiego doświadczenia, jak ich nieobecna koleżanka, ale posiadają dużo zapалу i umieją walczyć do ostatniego gwizdka.

P.: — Jakie perspektywy rysują się przed kobiecą piłką ręczną w naszym kraju?

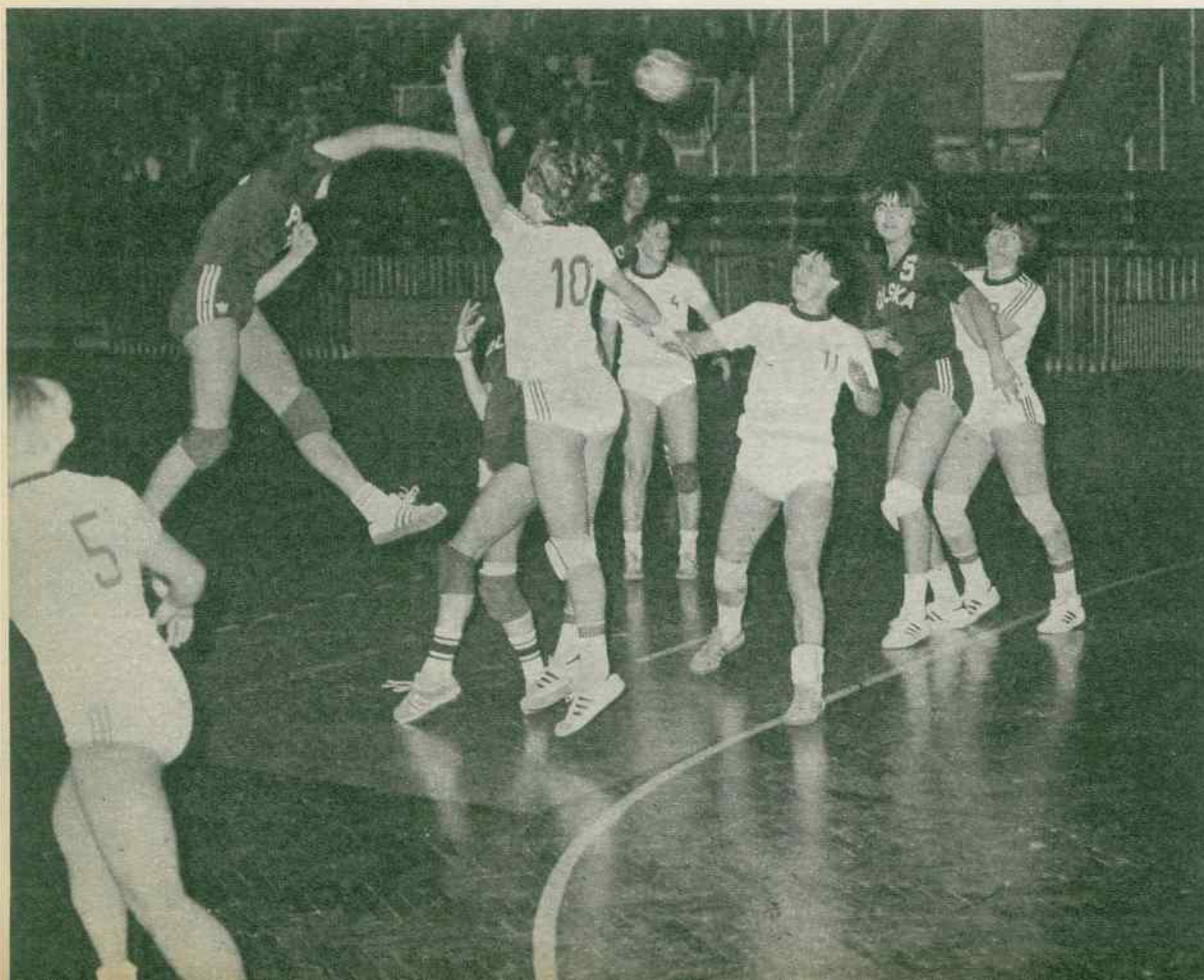
M.K.: — Praca, praca i jeszcze raz praca. Musimy nadrobić zaniebana powstałe w ostatnich kilku latach. Duże nadzieje wiąże z drużyną juniorek. Mamy bardzo zdolną młodzież, która już w niedługim czasie powinna wypelnić luki, jakie powstały po odejściu starszych zawodniczek. Co roku startujemy w Młodzieżowych Zawodach Przyjaźni i odnosimy w nich sukcesy. Srebrny medal w 1977 i brązowy w 1978 wywalczony przez nasze rezerwy napawa optymizmem. Głównym atutem naszej młodzieżówki są doskonałe warunki fizyczne wszystkich dziewcząt — przeciętna wzrostu 1,76 m. Muszą jeszcze tylko okrzepnąć i nabrać niezbędnego w międzynarodowych spotkaniach doświadczenia. Mając takie rezerwy możemy realnie myśleć o przyszłych sukcesach.

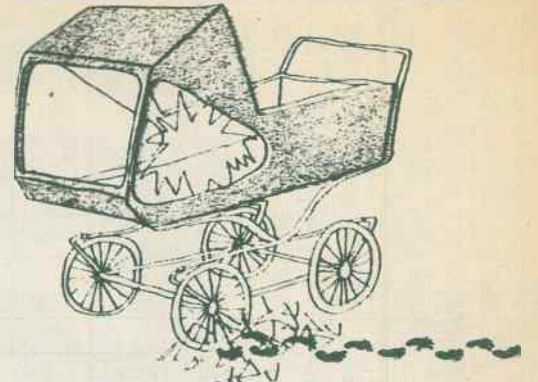
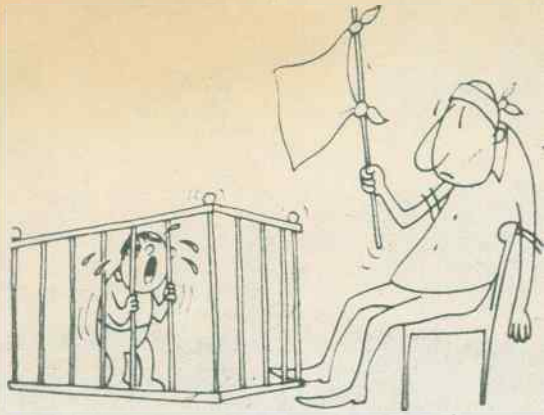
P.: — Zdaniem fachowców polska drużyna narodowa gra już dobrą piłką ręczną. Brak jej jeszcze stabilizacji i odporności psychicznej.

Wierzy pan w swój zespół uważając, że nasze panie w decydującym momencie nie zawiodą. Czy drużyna zdobędzie się na zryw i pomimo kłopotów kadrowych zdoła wywalczyć awans olimpijski? Na to pytanie otrzymamy odpowiedź po zakończeniu Mistrzostw Świata w Czechosłowacji.

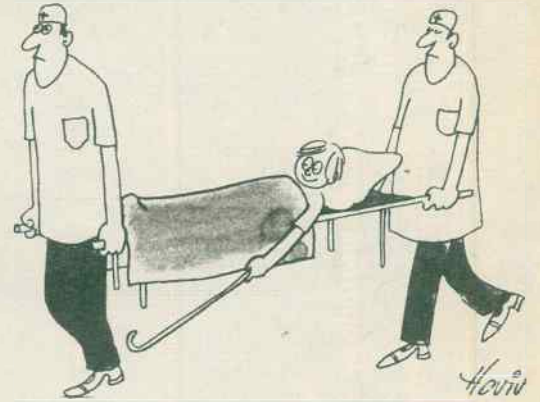
Rozmawiał: MARIAN BIJOCH

Zdjęcie: Antoni Labryga





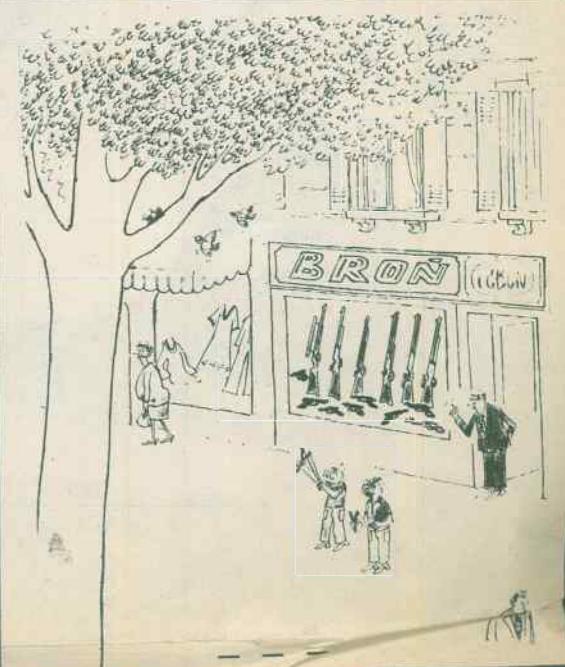
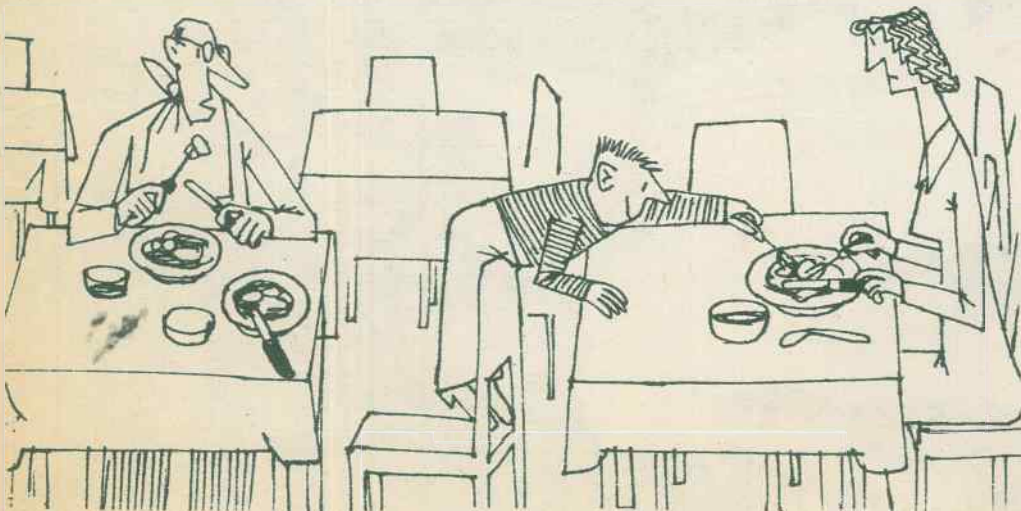
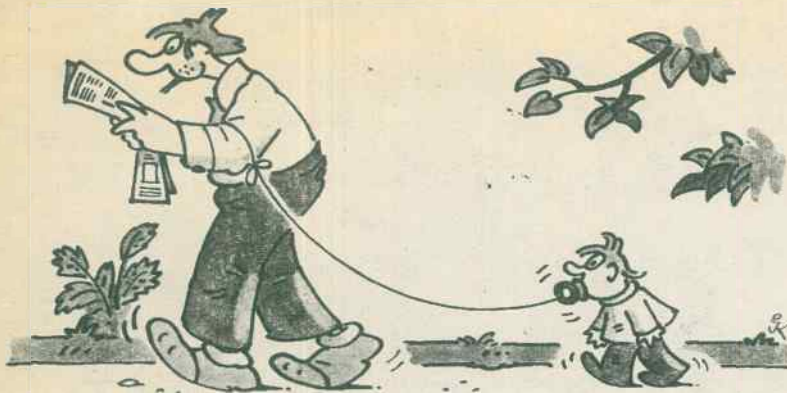
Jiri S



Horv

MALUCHY

(„Dikobraz”,
„Eulenspiegel”,
„Paris Match”,
„Stern”, ARC)



— Bierze się prawą ręką!



W Katowicach zakończył się tradycyjny już X międzynarodowy turniej piłki ręcznej kobiet o Puchar Śląska. Był to najpoważniejszy sprawdzian przed mistrzostwami świata, które zostaną rozegrane w dniach 3–10 grudnia w Czechosłowacji. Turniej zakończył się tryumfem naszego I zespołu przed Bułgarią i Czechosłowacją. Na str. 38 – rozmowa z trenerem naszej kadry narodowej – Mieczysławem Kiegielem.

Zdjęcie: ANTONI LABRYGA